



**LILY PRIOR**

**ŻAR UCZUĆ**

## Żar

Tego lata unosił się nad całym regionem jak chmura, czyniąc powietrze gęstym i perłowym. Drobiny złotego pyłu migotały w promieniach słońca, budząc uśpione pragnienia. Przesłodzona, różowa, przesycona wonią ekto plazma.

„Gardenie”, „frezje”, „groszek pachnący”, „kwiat jabłoni” - twierdzili miłośnicy ogrodów, pociągając z lubością nosami.

„Świeża śmietanka”, „płynna czekolada”, „gorący chleb”, „dojrzałe melony”, „poziomki” - orzekały łasuchy, oblizując się ze smakiem.

„Pożądanie” - osądzali moralisci, zatykając nosy.

„Emanacja świętości” - prawily siostrzyczki z klasztoru Sant'Antonio Abate, modląc się na specjalnej mszy koncelebrewanej przez samego biskupa.

„Ścieki” - napisał zamasyście miejski inspektor sanitarny.

„Mgła” - uważali meteorolodzy.

„Świeże powietrze” - przypuszczali ekolodzy.

„Śmierć” - utrzymywali pesymiści.

„Brednie” - prychnali intelektualisci.

„Cholera” - uznali lekarze.

Tymczasem nie była to żadna z tych rzeczy, lecz żar. I każdy, kto go zaznał, włączając w to mnie, znalazł się w nie lada opresji.

## Osoby

FERNANDA PONDEROSA, kobieta

OSCAR, małpa

SOLE i LUNA, małpiątka

OLGA, żółwica (a także jej siedmioro dzieci: Evangelista, Carla, Debora, Cressida, Dafne, Manon i Lilia)

RAFFAELLO DI PORZIO, doręczyciel telegramów, jedenasty rewir

VASCO, brygadzysta w firmie przeprowadzkowej Grossiego

SIGNORA VASCO, żona Vasca

GLAUCO PANCIO, jeden z pracowników firmy przeprowadzkowej Grossiego

BORRELLI, steward na „Santa Luigii”

MARIA GRAZIA, moja kuzynka

ARCADIO CARNABUCI, hodowca oliwek

CONCETTA CROCETTA, pielęgniarka środowiskowa

JA, czyli Gezabel, mulica wydziału zdrowia

FEDRA BRINI, tkaczka

PRISCILLA CARNABUCI, matka Arcadia (świętej pamięci)

REMO CARNABUCI, ojciec Arcadia (świętej pamięci)

MAX, pies Arcadia

AMELBERGA FIDOTTI, sprzedawczyni w sklepie bławatnym

SPERANZA PATTI, organistka i miejska bibliotekarka

TERESA MARTA, ociemniała tkaczka dywanów,

a także jej głuchy mąż, Berardo

MALCO BEATO, chórzysta, który umrze z powodu zatoru

PADRE ARCANGELO, ksiądz proboszcz

AMBROGIO BUFALETTI, kierowca ciężarówki

IRINA BIANCARDI, kierowca karetki

GIANLUIGI PUPINI, sanitariusz

MARIA CALENDIA, serowarka i świniarka, pracująca dla rodziny Castorini

SILVANA CASTORINI (Z DOMU PONDEROSA), siostra bliźniaczka Fernandy Ponderosy

FIDELIO CASTORINI, mąż Silvany, szwagier Fernandy

PRIMO CASTORINI, masarz, młodszy brat Fidelia

PERDITA CASTORINI, matka Fidelia i Prima

ZAKŁADY MIĘSNE PUCILLA, odwieczny wróg masarni Szczęśliwa Świnka

WDOWA FILIPPUCCI, jedna z przyjaciółek Prima Castoriniego

NELLINO, szajka złodziejasków oraz ich pies Fausto

NEDDO, miejscowy pustelnik SANCIO, muł rodziny Castorini

BELINDA FONDI, matka anioła

ROMEIO FONDI, mąż Belindy

SERAFINO FONDI, dziecko anioł

FELICE, Emilio i Prospero Fondi, przyszłe potomstwo Belindy i Romea

DOKTOR AMILCARE CROCE, lekarz

WDOWA MADDALONI

DON DINO MADDALONI, właściciel Domu Pogrzebowego Maddaloni i boss mafii

POMILIO, PRISCO, PIRRO, MALCO, IVANO i GADDO MADDALONI, sześciu synów don Dina

SELMO i NARNO MADDALONI, kuzyni don Dina

FRANCO LAUDATO, malarz i złota rączka

LUIGI BORDINO, piekarz

GLORIANA BORDINO, żona Luigiego (świętej pamięci)

MELCHIORE BORDINO, syn piekarza (cukiernik)

SUSANNA BORDINO, żona Melchiore

LUIGI BORDINO SENIOR, ojciec Luigiego

MANFREDI BORDINO, dziadek Luigiego

GERBERTO NICOLETTO, hodowca melonów

FILIBERTO CAROFALO, mleczarz

SEBASTIANO MONFREGOLA, fryzjer

POLICARPO PINTO, szczurołap

LUCA CARLUCCIO, szewc

CARLOTTA BOLLETTA, pielęgniarka w szpitalu

SIGNOR ALBERTO COCOZZA, inspektor sanitarny

SIOSTRY GOBBI, słynne kobiety z brodami

ARTURO BASSIANO, sprzedawca losów na loterię  
CARMELO SORBILLO, niesolidny listonosz  
GIUSEPPE MORMILE, najbliższy sąsiad Amilcare Croce  
IMMACOLATA MORMILE, żona Giuseppe

## Prolog

Fernanda Ponderosa musiała mieć przeczucie nadchodzącej tragedii. To dlatego wyjechała. Kiedy doręczyciel przyniósł telegram, zastał dom zamknięty na cztery spusty. Raffaello di Porzio czuł, że depesza przynosi złe wieści. Gdy stał na pustym ganku, trzymając ją w dłoni, owo nieszczęście opadło na niego i ledwo zdołał zejść po schodkach, uginając się pod jego ciężarem.

Ogród Fernandy, słynący z piękna na całej wyspie, okrył się całunem porzucenia. Dwie godziny po wyjeździe właścicielki każda z trzystu odmian orchidei zwiędła. Podobny los spotkał róże, groszek pachnący, gardenie i frezje. Brzoskwinie uschły, a trawniki, jeszcze niedawno zielone, bujne i piękne niczym dywan maharadży, były wypalone. Nie unosił się już tutaj zapach kwiatu pomarańczy, lawendy i kapryfolium; obecnie powietrze wypełniał odór gnicia i butwienia. Motyle, których niegdyś było tak dużo, odleciały, podobnie jak pszczoły, jeszcze niedawno ochoczo uczujące w kielichach kwiatów. Po posągu bogini Afrodyty pozostał jedynie nagi splecieć ziemi, po którym kręciły się stonogi i dżdżownice, a fontanna szlochała zamiast wesoło szemrać.

Raffaello di Porzio zadrzał. Mrok padł na ogród, chociaż słońce było wysoko na niebie. Mimo przygnębienia, zebrawszy siły, wyruszył w pościg, przemierzając na swym rowerze strome, wybrukowane uliczki, powodowany w równej mierze paniką, co poczuciem obowiązku.

Tymczasem Fernanda Ponderosa znajdowała się na przystani Grandi Traghetti, gdzie siedziała na pomoście jak królowa otoczona przez więcej rzeczy, niż rozsądek nakazywał z sobą zabrać. Wśród nich była żeliwna wanna, która stanowiła własność rodziny od dziewięciu pokoleń, i miała równie surowy wygląd, jak sama Fernanda: wygląd pełen strachu i rozpacz. Pięciu mężczyzn, pod dowództwem brygadzysty Vasca, właśnie wносиło ją na pomost; ich pot przeniknął cienkie deski i zmieszał się z falami morza.

Jeszcze w furgonetce Glauco Pancio nabawił się przepukliny. Jak miało się wkrótce okazać, nie była to ostatnia tragedia tego tragicznego dnia. Zaczniemy od tego, że zostali pokonani przez wannę. Nagle wysunęła im się z rąk, po czym, z ogromnym trzaskiem, zupełnie jak od uderzenia siekiery olbrzymia, upadła na przegniłe deski pomostu, zrobiła w nim dziurę, po czym zatonała majestatycznie w morzu, lądując z głuchym odgłosem na dnie obok papugoryby z otwartym ze zdumienia pyszczkiem i skonsternowanych skałoczepów trzymających się kurczowo pali pomostu.

Na prawdziwy cud zakrawało, że Fernanda Ponderosa pozostała sucha. Chociaż udała, że nic nie dostrzega, uznała zatopienie wanny za kolejny zły znak. Ekipa przeprowadzkowa wolała na wszelki wypadek zachować milczenie. Nikomu nie przyszło do głowy, by wszcząć akcję ratunkową. Odtąd wanna, w której przez trzysta lat czyścili się znamienicy przodkowie Fernandy, zmywając z siebie bitewną krew, porodowy śluz i pot kochanków, musiała zadowalać się kąpaniem syren z Marina Grande.

Fernanda Ponderosa spojrzała z niepokojem na swój dobytek, jakby oczekiwała, że to, co jej pozostało, również pochłonie w końcu spieniona woda. Uważała się za niedoszłą ofiarę katastrofy morskiej, chociaż, formalnie rzecz biorąc, znajdowała się wciąż na suchym lądzie. Połączona klatka, w której tkwiła jej smętna małpka, Oscar, chybotwała się na krawędzi dziury w pomoście, i chociaż zwierzątko udawało obojętność, zaciskało z przerażenia malutkie palce u nóg. Marynarskie ubranko, w które kobieta ubrała Oscara tego ranka, przygotowując go do podróży, było mokre w równej mierze od wody, jak i od ronionych ukradkiem łez.

Przeniosła klatkę na miejsce, które wydawało się jej bezpieczne, po czym, sięgnąwszy do torebki, podała małpce obrębianą koronką płócienną chusteczkę. Oscar wytarł szczególnie starannie miejsca za uszami, gdzie miał tendencję do grzybicy, między palcami u nóg, które wolno zaczynały się teraz, kiedy zażegnano niebezpieczeństwo, rozluźnić, oraz swoje zmięte ubranko, które przybrało godny pożałowania wygląd, niemający nic wspólnego z nieskazitelnym stanem, w jakim się znajdowało, gdy niedawno opuszczał dom. Był przy tym nad wyraz skrupulatny.

Drogę na nabrzeże zastawiał wielki dębowy kufer zawierający koronkową pościel. Pod kierunkiem lakonicznego Vasca, który za młodu zajęty był głównie wznoszeniem barykad - mężczyźni ustawiali dobytek kobiety. Czynili to tak, jakby rozstawiali płotki przed biegiem z przeszkodami. Na przystani, tworząc obraz rodem z sennego koszmaru, znajdowały się w tej chwili: drewniany koń na biegunach z grzywą z prawdziwych włosów, naturalnych rozmiarów

marmurowy posąg bogini Afrodyty, którego brak w ogrodzie Raffaello di Porzio zdążył już zauważyć, szeslong, kręcone schody, portrety przodków szlacheckiej rodziny Ponderosa, szklane akwarium z żółwicą Olgą i jej siedmiorgiem dzieci wielkości monet, wiatrowskaz, chrzcielnica pochodząca z czasów pierwszych krucjat, stos pudeł na kapelusze, fortepian, głowa jednorożca, wypchany hipopotam karłowaty w oszklonej gablocie, harfa z drewnianymi aniołami u podstawy, dębowe łóżeczko dziecięce, zegar szafkowy, komplet ocynkowanych wiader, stojak na parasole wykonany z nogi słonia, miedziane rondle, piernat, przenośna lodówka wypełniona prowanem na drogę, rakietki tenisowe, kryształowy żyrandol, bananowiec i wreszcie sakwojaż ze sztabkami złota i biżuterią.

Nie stanowiło to bez wątpienia całej zawartości domu. Nie były to nawet rzeczy najwartościowsze. Kiedy Fernanda obudziła się tego ranka, a jej serce wypełniło przecucie nieszczęścia, wzięła z sobą po prostu to, co wyniosłaby z pożaru. Za każdym razem, gdy się przeprowadzała, a przeprowadzała się często, zabierała z sobą tylko te rzeczy, które wpadły jej w ręce. Dzięki temu unikała męczarni podejmowania decyzji, gdy rozstrzygały się kwestie życia i śmierci.

Tymczasem potrzeba zawiezienia Glauca Pancia do szpitala okazała się pilniejsza od ustawienia rzeczy kobiety w jako takim porządku. Mężczyzna leżał na wznak, trzymając się za podbrzusze i jęcząc żałośnie. Fernanda Ponderosa odpędziła gestem członków ekipy przeprowadzkowej grzebiących się jak muchy w smole (nie byli w stanie nic zrobić bez swojego kolegi) i została sama, czując się przytłoczona ilością dobytku, który nabrał zupełnie innego charakteru, znajdując się poza domem, w promieniach słońca padających na nabrzeże, grubiańsko wystawiony na widok publiczny.

Turyści z walizkami i z mnóstwem tandetnych pamiątek odnosili się do Fernandy Ponderosy z wyraźną wrogością, ponieważ zajmowała zbyt wiele miejsca. Gdy ich stłumione szepty doszły do jej uszu, poczerwieniała ze złości. Na domiar złego pojawił się przed nią młody mężczyzna w mundurze i oznajmił urzędowym językiem, że Grandi Traghetti wystawi jej rachunek za szkody, które spowodowała. Jednak najgorsze miało dopiero nastąpić.

W drodze do szpitala Vasco, którego trudno było nazwać dobrym kierowcą, nie zauważył Raffaella di Porzia, skręcającego z Via della Fortuna. Doręczyciel wymachiwał telegramem trzymanym w zaciśniętej pięści i przyzywał Fernandę Ponderosę. Świadkowie wypadku zgodnie twierdzili później, że to prawdziwe błogosławieństwo, iż Raffaello di Porzio poniósł śmierć na miejscu. Vasco nie miał tyle szczęścia. Przeleciał w powietrzu trzy przecznice i wylądował

głową w dół na dachu budynku jednostki wojskowej, gdzie został podziurkowany kulami przez nadgorliwego wartownika, który wziął go za terrorystę.

Mimo obrażeń głowy i tego, że jego ciało przypominało durszlak, został połatany przez najlepszego chirurga na wyspie. Jednak nigdy już nie odzyskał świadomości. Signora Vasco lubiła myśleć, że jego świadomość zatrzymała się w chwili lotu, i że, leżąc nieruchomo niczym żywy trup, krąży w myślach po orbicie okołozemskiej.

Telegram nigdy nie został odczytany. Gdy zaciśnięta pięść Raffaella di Porzia została rozwarta, znaleziono w niej tylko zamrożone łyż. Matka nieszczęśnika pieczołowicie przechowywała je przez resztę życia w słoiku w lodówce. Depesza nie dotarła do adresatki i w konsekwencji Fernanda Ponderosa wyruszyła w podróż, kierując się jedynie intuicją. Intuicją, w którą, trzeba to powiedzieć, ani na chwilę nie zwątpiła i która od zawsze regulowała rytm jej życia.

Po tym bez wątpienia najgorszym wypadku w dziejach miasteczka nastąpiła kakofonia syren i klaksonów. Szajka złodziei, wykorzystując zamieszanie, dokonała spustoszenia w dobytku Fernandy Ponderosy. Kobieta odkryła, że została okradziona dopiero, gdy „Santa Luigia” w końcu przybiła do brzegu i bagażowi zaczęli wnosić ładunek. Wtedy jednak nic już nie można było zrobić. Po upewnieniu się, że Oscar i Olga wraz z potomstwem pozostawali bezpieczni, machnęła ręką na tę kradzież. Poza tym uważała, że to drobne zmartwienie w porównaniu z nieszczęściem, jakiego spodziewała się u kresu swej podróży. Tak naprawdę nigdy nie przepadała za portretami rodowymi, kręcone schody zapewne nie nadawały się już do użytku i nie pochwałała ciągotek przodków do polowań na grubego zwierza. Doglądnęła załadunku tego, co jej pozostało, po czym zajęła miejsce na dziobie.

Kiedy statek w końcu wypłynął, ani razu nie spojrzała na rajską wyspę, którą opuszczała na zawsze. Miała zasadę, żeby nigdy nie oglądać się za siebie. Zamiast tego spoglądała na morze, na setki wygimnastykowanych, silnych delfinów, tańczących w skrzęcej się wodzie, i na ogromną ośmiornicę, którą chłopiec złowił na wędkę i teraz z trudem wciągał na pokład.

Tymczasem na wyspie jej wypłynięcie zostało przyjęte z niekłamaną ulgą. Wydarzenia poranka utwierdziły wszystkich w przekonaniu, że Fernanda Ponderosa przyciąga nieszczęście. Rodziny Vasco i di Porzio, mimo żalu z powodu wypadku, którego ofiarami padli ich bliscy, czuły się w obowiązku zaproponować przyjaciołom trochę wina i migdałowych ciasteczek.

Przez całe dwa dni i dwie noce rejsu Fernanda nie opuściła swego punktu obserwacyjnego na dziobie. Stała tam niczym galion, owinięta czarną żeglarską peleryną, która wydymała się



na wietrze. Pozostałym pasażerom, w większości komiwojażerom z walizkami pełnymi gumowych rękawiczek, tresek i protez chirurgicznych, wydawała się złowrogą zjawą.

- Czy to duch? - pytali Borrellego, stewarda, który wydatnie zwiększył obroty baru dzięki snuciu mrozących krew w żyłach opowieści o Fernandzie, tak bardzo przerażających klientów, że musieli zmywać strach obfitymi ilościami alkoholu. W rzeczywistości kobieta odpowiadała tylko za to, że pragnęła wypłynąć statkiem i daremnie starała się zrozumieć, jaki jest powód smutku, który czuła.

W końcu „Santa Luigia” zawinęła do portu i Fernandę, małą, żółwią rodzinę i dobytek, który przetrwał rabunek, wyrzucono niegrzecznie na kolejną przystań, tym razem na lądzie stałym, daleko od domu. Tworzyli razem żalostną grupkę, zwłaszcza gdy niebiosa się otwały i zostali zalani wodą, która przydała im malowniczego wyglądu fontanny. Żółwie nic sobie z tego nie robiły, mała jednak nie cierpiała wody i była zmuszona po raz wtóry wytrzeć się chusteczką, która dopiero co wyschła.

Wiem o tym, ponieważ, dziwnym zbiegiem okoliczności, moja kuzynka Maria Grazia była przewożona na „Santa Luigii” i widziała to wszystko na własne oczy.

# Część pierwsza

## SIANIE

### Rozdział pierwszy

Człowiekiem, który odpowiadał za całe to zamieszanie, był mój ukochany Arcadio Carnabuci, hodowca oliwek. Zniechęcony odmową, która spotykała go ze strony każdej kobiety, jaka tylko pojawiła się w okolicy, i wyczerpany wyniszczającą samotnością, popadł w końcu w krańcową rozpacz. Dokładnie w chwili, gdy to nastąpiło, rozległo się pukanie do drzwi i pojawił się w nich obwoźny sprzedawca. Arcadio dał się uwieść jego gładkiej paplaninie, w ciągu sekundy więc został posiadaczem garści kosztownych nasion, które, jak gwarantował Cygan, przynieść mu miały upragnioną miłość.

Uradowany handlarz schował gotówkę, po czym wziął nogi za pas, bojąc się, że hodowca oliwek zmieni zdanie. Lecz nie miał powodu do obaw. Arcadio Carnabuci był zachwycony zakupem i nie mógł już się doczekać odmiany swego losu. Nikt nie był w stanie przewidzieć, jaki obrót przybiorą sprawy. Postaram się przedstawić wszystkie wydarzenia jak najwierniej, jako że byłam aktywną ich uczestniczką.

Arcadio, odpowiadając przemożnemu zewowi natury, zasiał nasiona miłości. Była akurat wczesna wiosna, pora, gdy krótki luty przechodzi w marzec, a ziemia budzi się do życia. Mgła spowijała wierzchołki gór niczym tiul, a na równinach malutkie postacie, opatulone przed ziąbem, siały w miejscach, gdzie śnieg już stopniał.

Arcadio Carnabuci spędził długie godziny na drabinie, przycinając gałązki drzew oliwnych, którymi jego rodzina opiekowała się od tysiąca lat. Myśli hodowcy jednak nie dotyczyły oliwek. O nie. One dotyczyły miłości.

Stojąc na rześkim powietrzu, na którym oddech formował obłoczki pary, Arcadio był napięty jak gałązki, które trzaskały pod jego nożem. Przez noc zakwitły migdałowce. Nie chcąc dać się prześcignąć, podążyły za nimi wiśnie; tak samo uczyniły persymony, kasztanowce i granatowce. Lepkie pąki na wierzbach przemieniły się w bazie, a łąki wybuchły feerią wiosennych kwiatów; konwalie, narcyzy, dzwonki, krokusy i irysy tworzyły olśniewającej barwy ko-bierzec. Szparagi lekarskie i słodko pachnące zioła wypełniały powietrze aromatami, a w górach zakwitły rododendrony.

Arcadio Carnabuci czuł pod podeszwami energię ziemi. Przepływała ona w górę do jego nóg i kazała podrygiwać wbrew jemu samemu.

- Patrzcie, ja tańczę! - wykrzyknął, chociaż wokół nie było żywej duszy. Zaskoczenie hodowcy oliwek było tym większe, że przez całe życie nie zdarzyło mu się zatańczyć. Wybuchnął śmiechem.

- Ja tańczę - powtórzył.

I faktycznie - tańczył. Najpierw powoli, potem, w miarę jak rosła jego pewność siebie, coraz szybciej, aż wreszcie dał się ponieść rytmowi. Do nóg dołączyły ręce; jego stopy, zwykle tak ciężkie, stały się nagle leciutkie. Odbijał się od stwardniałej ziemi, po czym spadał, nurkując jak jaskółka. Kręcił biodrami. Miotał głową na wszystkie strony.

Ci, którzy go widzieli, podnosili kołnierze i przypatrywali się swoim dłoniom, by ukryć zmieszanie. Arcadio Carnabuci, który zawsze był dziwny, tym razem kompletnie oszalał. Tego dnia moja przyjaciółka - Concetta Crocetta, pielęgniarka środowiskowa, otrzymała siedem zgłoszeń z prośbą, by umieścić Arcadia w *manicomio* w Cascia, ku niekłamanej uldze całej okolicy. Jednak gdy pospieszyliśmy do gaju oliwnego, by zobaczyć błazeństwa hodowcy oliwek na własne oczy, ujrzałyśmy po prostu człowieka, wyrażającego radość w związku z nadejściem wiosny. Uśmiechając się z pobłażaniem, Concetta kopnęła mnie swoimi małymi piętami, dając znak do odejścia. Dawniej nie obchodziła się tak brutalnie z moimi delikatnymi bokami. Wyruszyliśmy do domu.

Impuls, który pobudził Arcadia, nie ograniczył się do niego samego i roślin. Zwierzęta poczuły go również. Pająki w swoich roziskrzonych pajęczynach zapragnęły miłości i usnuły oszklone kroplami rosy sonety o wielkiej delikatności i niewyobrażalnym pięknie. Skorpiony w ciemnych kątach zastukały kastanietami w czasie zalotów, po czym połączyły się w pary i zwięły razem w wyrzuconych, ciepłych butach, myszy pomknęły, by zebrać nitki bawełny, podartego papieru oraz kawałki kłaczek, i uformowały je w wygodne gniazda, z których później wynurzały się ich ślepe dzieci wielkości ziarenek grochu. Traszki w wylocie rynny dachowej śpiewały niskimi głosami. Przyłączyły się do nich żaby i ropuchy, i już wkrótce rozbrzmiewał magiczny rechoczący chór. Ta muzyka była tak piękna, że słuchający jej, zaczęli tęsknić za wodnym życiem, które pozwalałoby im odkryć tajemnicę tej pieśni. Kosy o świdrujących spojrzeń, obserwowane przez przebiegłe kukułki, które wszystkim przekazywały wiadomość o przyjsciu wiosny, zajęte były budowaniem gniazd. Głęboko w dębowym lesie dzik wychrzakiwał swoją serenadę, podczas gdy w chlewie jego udomowieni kuzyni zalecali się do siebie. Za-

jące ganiały się, jelenie figlowały. Wysoko w górach wilk zaczął wyc suitę, a nieśmiało niedźwiedzie przytulały się do siebie w jaskiniach.

Arcadio Carnabuci nic nie mógł poradzić na to, że uległ różowej mgiełce, która zaczęła unosić się nad całą okolicą, choć przewidywał, że z uwagi na samotne życie i tak do niczego mu się to nie przyda. Wierzył jednak w swoje nasiona miłości i w to, że w tym płodnym klimacie obietnica, jaką dawały, z całą pewnością się ziści.

To wtedy je zasiał. Wybrał z rozmysłem właściwą chwilę. W bladym świetle słonecznym, mdłym, acz pełnym zapachu. Pod szkłem. By było im ciepło. Te przypominające fasolki nasiona posiadały tę samą energię, co cały świat wokół niego. Trzymał je przez chwilę na dłoni, przypatrując się im zza szkieł okularów, za którymi jego oczy wydawały się olbrzymie, a każdy por i włoszek powiększony był tysiąc razy. Nasiona poczuły siłę jego nadziei. Dzielne małe istoty postanowiły go nie rozczarować.

Położył je na ziemi, tak jakby kładł na łóżku kochankę. Wypełnione ciężarem nadziei i marzeń, piękna, tęsknoty i podniecenia. Powolne ruchy Arcadia były niczym symfonia. W jego rękach, wielkich jak łopaty dłoniach hodowcy oliwek, nasionka czuły się bezpiecznie. Poduszki palców, duże, acz delikatne, nacisnęły na nie i nagle „fasolki” znalazły się w ciemności i torfiastym cieple, gdzie natychmiast zapadły w sen.

Potem, podobnie jak kosy w żywopłotach i myszy pod okapami, Arcadio Carnabuci zaczął wyścielać swoje gniazdo. Jego kawalerski dom nie mógł się poszczycić wieloma wygodami. Ściany z zaciekami wołały do niego z wyrzutem. Wypłowiałe zasłony zawstydzaly go. Zaczął wszystko czyścić i sprzątać. Sterty kurzu zmiotł miotłą, która sama pokryta była kurzem. Niemal na śmierć wystraszył myszy, sięgając do zapomnianych kątów, które dawno temu przestały należeć do niego.

Po wielu latach opierania się w końcu skapitulował i wpuścił do domu Fedrę Brini, by zebrała pajęczyny, których potrzebowała do robienia żagli. Była jedyną żaglomistrzynią w tym śródlądowym regionie. Jej delikatne i wytrzymałe żagle były wysoko cenione przez rybaków nad Adriatykiem. Regularnie ściągala pajęczyny we wszystkich domach w okolicy. Niezbierane od tak dawna u Arcadia Carnabuciego były ogromne, jak z baśni.

Fedra Brini była w siódmym niebie, czego nie można powiedzieć o pająkach. Spuścizna całych pokoleń przepadła na zawsze. Tradycja ludowa, legendy, drzewo genealogiczne wypisane zakręcanym kaligraficznym pismem, dzieła wielkiej literatury, romanse, poezja, kryminały, nawet przepisy kulinarne i krzyżówki. Na dodatek, jakby tego było mało, podczas ataku Fedry

jeden z młodych pajaków stracił nogę, czego Arcadiowi Carnabuciemu nigdy nie wybaczone. Wszystko zostało zmiecione i umieszczone w płóciennym woreczku na plecach niszczycielki. To był naprawdę straszny dzień.

Pełna radości jak wypełniony po brzegi dzban tkaczka nie mogła się powstrzymać przed opowiadaniem na prawo i lewo o swojej zdobyczy. Jakie wspaniałe pajęczyny - była pełna zachwytu. Nietknięte od śmierci Priscilli Carnabuci, matki Arcadia, dwadzieścia dwa lata temu. Ale dlaczego Arcadio, który tak długo pozostawał głuchy na jej prośby, nagle zmienił zdanie? Na to pytanie nikt nie był w stanie odpowiedzieć. Hodowca oliwek wyraźnie coś knuł i Fedra, która wygrzewała się w ciepłych promieniach uwagi sąsiadów, robiła, co mogła, by dodać dREW do ognia ich ciekawości.

Sam Arcadio przyczynił się zresztą do podsycenia owego ognia, gdy nazajutrz pojawił się w sklepie bławatnym przy Via Colombo i zapytał o pościel. Na co mu nowa pościel? Brwi posępnej ekspedientki, Amelbergi Fidotti, natychmiast przybrały kształt znaków zapytania. Wiadomość lotem błyskawicy rozniosła się po całym miasteczku. To wydawało się prawie niemożliwe. Wręcz nieprzyzwoite. W końcu był zatwardziałym starym kawalerem.

Kiedy wrócił do domu, rozpostarł nową pościel na łóżku. Ot tak, dla sprawdzenia efektu. Oczywiście nie zamierzał jej używać. Była na to zbyt wspaniała. Szokująco wspaniała. Szeleszcząca i biała jak pola pokryte świeżym śniegiem. Jednak miał problem. Nie chciał sprawiać wrażenia, że za bardzo się stara. Prawdę mówiąc, nie chciał, by było widać, że w ogóle się stara. Może wydać się wyrachowany. Zbyt pewny siebie. Zaczął przecież planować tę chwilę, zamiast zdać się na improwizację. Niemniej jednak jego przetarte i zszarzałe prześcieradła wołały o pomstę do nieba. Z wysiłkiem złożył nową pościel niczym mapę i umieścił ją z powrotem w szeleszczących celofanowych opakowaniach, które same w sobie były przepiękne, po czym zamknął je w szufladzie. Następnym razem wyjmie tę pościel dla Niej. W tej samej chwili pokrył się rumieńcem, który upodobnił go do nastolatka.

Arcadio Carnabuci nigdy, ani przez chwilę, nie wątpił w to, że w końcu spotka prawdziwą miłość. Po prostu to wiedział. Był owego spotkania równie pewien, jak tego, że na drzewach pojawią się oliwki. Obkopywał ich korzenie, by dać im powietrze, użyźniał glebę nawozem, przycinał gałązki, wszystko w dniach wyznaczonych przez jego przodków w Wielkim Almanachu Carnabucich. Wiedział, że cokolwiek robi, zawsze efektem jego działań będą oliwki, które rosnąć będą na tych drzewach jeszcze długo po tym, jak jego ciało użyźni glebę. Taką samą pewność miał co do tego, że nadejdzie jego wyśniona i wymarzona.

Sprawdzał postępy w rozwoju nasionek setki razy dziennie. Samym patrzeniem o mało nie zdarł ziemi na kielkowniku. Jak bardzo wypatrywał najmniejszego źdźbła sterczącego z ziemi! Rankami, zanim jeszcze opróżnił pęcherz, podbiegał do okna, zakręcając za uszami druciane pałaki okularów, i patrzył w ziemię, zupełnie jakby wypłukiwał złoto.

W końcu, w cudowną Niedzielę Palmową, dzień, który miał zapamiętać na zawsze, ujrzał trzy malutkie wypukłości, zadowolone z siebie jak uczniowie, którzy podczas sprawdzianu odpowiedzieli poprawnie na wszystkie pytania. Na ich widok serce zabiło mu szybciej. Przypatrywał się tak uważnie, że już wkrótce znał najdrobniejsze cechy charakterystyczne każdej roślinki. Jego modlitwy zostały wysłuchane. Widomy znak, że Bóg jest po jego stronie.

Kiedy tego dnia zajął swoje stałe miejsce w pełnym palemek kościele, nie mógł powstrzymać się od podziękowania za ten mały cud. Byłam wówczas, jak i teraz, całkowitą agnostyczką, nigdy w życiu nie przestąpiłam progu jakiegokolwiek świątyni, tak się jednak złożyło, że akurat tego ranka przechodziłam obok. Dlatego też byłam świadkiem wszystkiego. Wspaniały baryton Arcadia rozbrzmiewał z żarliwością, rozchodząc się po nawie głównej z taką siłą, że omal nie poderwał dachu. Zagłuszył organy i chociaż organistka, Speranza Patti, ze wszech sił starała się dotrzymać mu kroku, ta sztuka jej się nie udała.

Biorąc przykład ze Speranzy, chórzyci napelnili płuca i wydęli policzki, wyglądając jak krzepkie cheruby ozdabiające freski nad ich głowami. Śpiewali, ile sił w piersiach, ich głosy zbiły się razem w jedną wielką ewangeliczną papkę. Teresa Marta, ociemniała tkaczka dywanów, śpiewała tak żarliwie, że gdyby Pan Bóg istniał, z pewnością odzyskałaby wzrok. Fedra Brini tak się zapamiętała, że uległa hiperwentylacji i musiała zostać wyprowadzona przed kościół z papierową torbą przy ustach; to był dla niej tydzień pełen wzruszeń. Malco Beato grzmiał tak, jakby jego życie zależało od śpiewu, co w pewnym stopniu odpowiadało prawdzie. Wielu uznało potem, że to ten zdumiewający wysiłek wywołał zator, którego ofiarą chórzysta padł jeszcze tego samego dnia. Inni również słaniali się na nogach, mieli zawroty głowy, byli czerwoni na twarzach i nie mogli oddychać. Wielki finał pieśni zatrzęsł kościółkiem i omal nic zapoczątkował trzęsienia ziemi. Tymczasem Arcadio Carnabuci nawet się nie spocił, a i tak brzmiał donośniej niż głosy pięćdziesięciu wyćwiczonych chórzystów.

Padre Arcangelo był zachwycony siłą wiary hodowcy oliwek, lecz pozostali wierni popatrywali po sobie, a ich spojrzenia zdawały się mówić, że Arcadio po raz kolejny dał dowód swojej niepoczytalności. Ci, którzy mieli to nieszczęście, że dzielili z nim tę samą ławkę, chyłkiem się od niego odsuwali, w trosce o swoje bębenki. Concetta Crocetta wiele razy tego dnia

była wzywana do przypadków szumu w uszach. Wszyscy jej pacjenci obwiniali o to Arcadia Carnabuciego.

## Rozdział drugi

W następne dni cenne sadzonki wydłużały się, wyginały swoje szyje i unosiły głowy nad powierzchnię ziemi, ciągnąc do słońca, które nierozważnie wpadało przez okna. Gaj oliwny leżał odłogiem, ponieważ Arcadio Carnabuci poświęcił się bez reszty obserwowaniu swoich roślinek, a kiedy na nie patrzył, wypowiadał słowa zachęty, czułe zwroty, wersy poezji i miłosne zaklęcia.

Nieżyjący od dawna ojciec Arcadia, Remo, widząc z zaświatów, że syn zaniedbuje gaj, pojawił mu się we śnie, każąc wracać do pracy, bo drzewka oliwne są ważniejsze od ludzi, którzy rodzili się tylko po to, aby im służyć. W tym śnie chwilę później pojawiła się również Priscilla, jego matka. Zwróciła uwagę mężowi, że jeśli Arcadio pozostanie dłużej w kawalerskim stanie, może się okazać, że już niedługo zabraknie Carnabucich do opieki nad plantacją. Kłótnia rodziców rozgorzała nad głową biednego hodowcy oliwek, który poczuł tęsknotę za dniami swej młodości, gdy stanowili naprawdę szczęśliwą rodzinę.

Kiedy jednak rodzice zaczęli obrzucać się nie tylko wyzwiskami, ale i talerzami, Arcadio postanowił położyć temu kres i, naciągnawszy kołdrę na uszy, zastąpił ich snem, w którym śpiewał serenadę swojej ukochanej. Stała na balkonie, a on - w magicznym ogrodzie poniżej, okryty aksamitną ciemnością. Jego interpretacja *E lucevan le stelle* stanowiła najdoskonalsze wykonanie w całej jego śpiewaczej karierze. Akompaniowała mu orkiestra żab i płochliwych zwierzątek nocnych.

Nazajutrz Arcadio Carnabuci był tylko trochę zaskoczony, widząc swoją kuchnię pogrążoną w chaosie: rozbite naczynia, żółtka jajek przyklejone do ścian, roztrzaskane słiczki konfitur i przewracane krzesła. Wyglądało na to, że stoczono nawet bitwę na mąkę.

Najbardziej martwił się tym, że duchy rodziców mogły wyrządzić krzywdę roślinkom. Z ulgą stwierdził, że nic się im nie stało. Były tylko większe i bardziej zielone niż poprzedniego dnia.

Przez cały Wielki Tydzień pojawiały się pędy. Rosły dosłownie na jego oczach. Jeśli odwrócił się na chwilę, a potem znów na nie spojrzał, dostrzegał różnicę. Gdy jechał do mia-

steczka po sprawunki, po powrocie widział świeżo uformowany kawałek żdźbła albo nowy ma-  
lutki listek, rozwijający swoją delikatną zieloną flagę.

Arcadio Carnabuci był tak podekscytowany, że czuł, iż lada chwila eksploduje. Przypomi-  
nał czekającą na właściwy moment bombę zegarową. Nie mógł na niczym skupić uwagi. Na  
jego czole nieustannie pojawiał się pot. Zaczął gubić przedmioty, kładąc je w przypadkowych  
miejscach. Spędzał całe godziny na szukaniu skarpetek, by w końcu odnaleźć je w lodówce;  
mleko zostawione w dzbanku w kieszeni kurtki zamieniało się w zsiadłe. Kubki smakowe wy-  
syłały fałszywe sygnały do jego mózgu. Jadł kawał sera tylko po to, by odkryć później, że to  
było masło. Wątróbka, którą smażył na obiad, okazywała się starym papuciem.

To wtedy również zaczęły się namiętne sny. Arcadio widywał w nich Fernandę. W środ-  
ku jakiegoś zupełnie innego snu pojawiała się nagle jej słodkie uszko. Albo doskonały nosek.  
Dokładnie taki rodzaj nosa, jaki pragnął, by miała. Mały, prosty, wąski. Pokryty piegami.  
Garstką drobnych piegów równomiernie rozłożonych na jasnej skórze. Oczy ciemnozielone i  
błyszczące jak jezioro, w którym odbijają się promienie słońca. Najbardziej rozpraszały go jej  
włosy. Widział je w snach, a nawet na jawie. Splecione w warkocz, barwy pola pszenicy, gdy  
zachodziło nad nim słońce. Wydawały się tak bliskie, tak realne, że gdyby wyciągnął rękę, do-  
tknąłby ich z całą pewnością. Wiedział, jakie towarzyszyłoby temu doznanie. Były łagodne ni-  
czym motek jedwabnej nici. Czasami leżały na jego poduszce jak jezioro stopionego złota.

Pachniały niczym łąka latem, kiedy kwitną trawy i polne kwiaty, a ich aromat unosi się  
na wietrze.

W miarę jak sadzonki rosły, obraz Fernandy wyostrzał się. Arcadio znał jej imię od sa-  
mego początku. Wcale go to nie dziwiło. Wydawało mu się, że tak było zawsze. Imię to roz-  
brzmiewało z jakiejś odległej przeszłości, którą musieli dzielić, dawno temu i daleko stąd. To  
umocniło go w przekonaniu o nieuchronności spotkania, które po długiej rozłące było po prostu  
przeznaczeniem.

Zaczął jak mantrę powtarzać jej imię: Fernanda, Fernanda, Fernanda. Czasami, gdy był  
podchmielony, ale również wtedy, gdy był całkowicie trzeźwy, kiedy przepełniały go radość i  
energia, łączył to imię ze swoim nazwiskiem: „Fernanda Carnabuci. Signora Fernanda Carna-  
buci”. Brzmiało ładnie. W pełni naturalnie. Nie chciał kusić losu, wspominając o tym komu-  
kolwiek, ale nosił te słowa w sercu jak maskotkę.

Znał również mnóstwo intymnych szczegółów związanych z obiektem swoich wes-  
technień. Tak dobrze zapamiętał kształt ud Fernandy, że mógłby je narysować. W umyśle nie-



świadomie cały czas je szkicował. Uwielbiał błękitną siateczkę żył po wewnętrznej stronie jej rąk, delikatne miejsca, które, gdy leciutko wodził po nich koniuszkiem palca, marszczyły się w nieskończone fałdy. Zaczynała wtedy mrużyć i prężyć się jak kotka. Jej skóra zawsze była chłodna w dotyku i gładka jak marmur. Niedaleko miejsca, gdzie policzki przechodziły w linię włosów, pokryta była meszkiem delikatnym jak skórka dojrzałej brzoskwini. Ten widok rozczulał go do łez. Uwielbiał każdą, najmniejszą nawet, kosteczkę jej długich, wąskich stóp. Ubóstwiał tę część ciała, która jej samej wydawała się najmniej znana: plecy. Dwa ledwie widoczne wgłębienia po obu stronach podstawy kręgosłupa, piegi na barkach, zachwycające kręgi, które stawały się widoczne, kiedy się pochylała. Soczyste piersi zaskakiwały za każdym razem, gdy pojawiały się w jego umyśle, napełniając go poczuciem winy, ponieważ wiedział, że nie powinien na nie patrzeć. Były po prostu doskonałe.

W tych delirycznych majakach oplątywała go nogami, a bogaty zapach ciepłych, słonych ciał uwalniał się z każdym opadnięciem i podniesieniem kołdry. Powietrze poza łóżkiem było zimne. Kosmyki leżały w poprzek jej twarzy, a pojedyncze włosy w jej ustach, rękę trzymała pod głową niczym poduszkę. Jej prawie niesłyszalny oddech, w tej chwili jedyny dźwięk na świecie, jemu samemu kazał wstrzymywać powietrze z obawy, by się nie zbudziła. Nieznacznie rozchylone usta kobiety tręcały strunę, która prowadziła do jego lędźwi i wydawała dźwięk rozkoszy.

Rankiem, który nastąpił po pierwszym z tych snów, w Niedzielę Wielkanocną, Arcadio Carnabuci wstał z ociąganiem po tej gorącej, zmysłowej nocy i doznał szoku, odkrywając miniaturowe owoce, dyndające na cienkich ogonkach pod liśćmi jego sadzonek. Niewiarygodne. Poprzedniego dnia jeszcze ich nie było. A teraz są. I to trzy. Trojaczki.

Nie przypominały żadnych owoców, jakie znał. Były kształtu bakłażana, tylko mniejsze, małe i słodkie, z kremową skórką, na której znajdowały się rozczulające brązowe plamki, niczym łaty krowy fryzyjskiej. Owoce pęczniały dosłownie na jego oczach. Ich małe brzuszki stawały się coraz bardziej zaokrąglone i lśniące. Nie mógł powstrzymać się przed ich tręcaniem, delikatnie, koniuszkiem palca. W dotyku były lekkie jak blaszka liścia wyginającego się na wietrze. Zdawało mu się, że usłyszał chichot dobiegający z połaskotanego owocu.

Z niecierpliwością czekał na otwarcie po świętach biblioteki publicznej. Chciał dowiedzieć się jak najwięcej o nasionach miłości (handlarz był podejrzanie zdawkowy, kiedy pytał go o szczegóły dotyczące ich pielęgnacji, zapewniał tylko gorliwie, że Arcadio z pewnością się nie zawiedzie). Już wczesnym rankiem chodził nerwowo po schodach. Kiedy Speranza Patti,

organistka kościelna, która pełniła również obowiązki bibliotekarki, przysłała do pracy, zignorowała go, mając nadzieję, że sobie pójdzie. Jednak Arcadio Carnabuci był upartym człowiekiem. Mimo że próbowała zamknąć mu ciężkie drzwi przed nosem, wszedł za nią do środka i spędził kilka godzin, przedzierając się przez sterty tomiszczy w dziale agronomii i ogrodnictwa.

Przez cały ten czas, z pewnym skrepowaniem, Speranza Patti starała się wypełniać swoje obowiązki, trzymając trzęsący się palec blisko guzika włączającego alarm. Co, na miłość boską, Arcadio Carnabuci robił w bibliotece? Przecież nawet nie był zapisany. Zadrżała na myśl, że są sami w budynku. Kto wie, co strzeli mu do głowy? Wszystko może się zdarzyć. Tymczasem Arcadio zagłębił się w lekturze starego *Leksykonu owoców egzotycznych*. Nie czytał zbyt szybko i sprawdzał skrupulatnie stronę za stroną, szukając czegoś, co przypominałoby jego cenne owoce, ale nie znalazł nic, co miałoby z nimi cokolwiek wspólnego poza odległym podobieństwem.

Z jednakową uwagą przestudiował wszystkie inne książki w tym dziale: traktaty na temat nasion, encyklopedie roślin, kompendia, słowniki, katalogi, poradniki. W żadnej nie znalazł podobnego owocu. Był on jedyny w swoim rodzaju: nieznany botanikom i żonatym mężczyznom. To potwierdziło tylko to, czego się domyślał: z całą pewnością miał do czynienia z cudem. Lekkie uczucie zawodu spowodowane bezowocnymi poszukiwaniami zostało stłumione przez radość z powodu wyjątkowości jego roślinek. Wyszedł z biblioteki ze śpiewem na ustach.

Speranza Patti mogła w końcu odetchnąć z ulgą i zacząć w spokoju rozkoszować się kanapką z serem, najpierw jednak musiała rozmasować palec wskazujący, w którym złapał ją skurcz, zbyt długo bowiem trzymała go na guziku alarmowym.

Wieść o tym, że Arcadio Carnabuci zawitał pomiędzy półki z książkami, lotem błyskawicy obiegła całą miejscinę i bibliotekarka zaczęła być oblegana przez mieszkańców, którzy domagali się wyjaśnień, co tam porabiał. Dawno już nikt nie widział tu takich tłumów. Speranza, nieoczekiwanie dla siebie, znalazła się w centrum zainteresowania. Zadowolona, dała upust swojej fantazji. Wkrótce o hodowcy oliwek zaczęły krążyć dziwne plotki: sprzymierzył się z diabłem; planował obalenie rady miejskiej; to on wywołał ostatnie trzęsienie ziemi; ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości; był piratem; wampirem; kastratem; potajemnym transwestytą.

Wróciwszy do domu, nieświadomy zainteresowania, jakie wzbudził, Arcadio Carnabuci nadal obserwował swoje roślinki. Rosły dosłownie w oczach. Zafascynowany, chłonał wzrokiem każdą, najmniejszą choćby różnicę: zmiany w odcieniu skórek, każde maciupkie powięk-

szenie trzech owoców. Delikatnie trzymał w dłoni każdy z nich, oceniając wagę, uważając, by ich nie zniszczyć ani nie spowodować, że przedwcześnie spadną.

Czekał z cierpliwością i obawą. Oczywiście miał wielką ochotę posmakować owoców i zaznać mocy cudownej odmiany, która miała zajść w jego życiu. Ale zdawał sobie również sprawę z tego, że powinien poczekać, aż osiągną one idealny poziom dojrzałości, dzięki czemu nabiorą maksymalnej mocy. Czekał czterdzieści lat; poczeka jeszcze i te kilka dni. Nie tylko patrzył na owoce, ale i wciągał ich woń, rozróżniając nieznaczące zmiany jej intensywności, i modląc się, by nagle nie zaczęły gnić.

Świat niemal wstrzymał bieg. Tak wiele działo się pomiędzy każdym drgnięciem wskazówki zegara! Owoce były dla niego wszystkim. Nic poza nimi się nie liczyło.

W końcu, dwudziestego siódmego kwietnia, dwadzieścia pięć minut po dziesiątej, poczuł, że nadszedł czas. Owoce stały się idealnie dojrzałe, osiągnęły ten stan, którego rozpoznawania nauczyła go trwająca całe życie uprawa oliwek. Wtedy, ani sekundę za wcześnie, ani sekundę za późno, zebrał się na odwagę, przełknął ślinę i zerwał je mężnie z gałązek.

W dotyku te małe niebożątka były prawie jak ludzie. Ciepłe, miękkie i mięsiste. Arcadio Carnabuci nie mógł sobie jednak w tej chwili pozwolić na sentymenty. Zaczął je obierać ostrym nożem, ściągając jak najcieńsze kawałeczki kremowo-brązowej skórki i odkładając skrócone obierki na stół. Czynność ta uwolniła aromat, który omal nie zwałił hodowcy oliwek z nóg. Był to zapach wanilii, szampana, tęsknoty, marcepana, brzoskwini, uśmiechów, śmietany, truskawek, malin, róż, roztopiającej się czekolady, bzu, fig, śmiechu, kapryfolium, pocałunków, lilii, powabu i wreszcie - żaru uczuć.

A potem nie mógł już dłużej czekać i łakomie, lubieżnie położył soczyste owoce na języku, jeden po drugim. Jego umysł nie wierzył w sygnały, które wysyłały kubki smakowe. Miał wrażenie, że w ustach wybuchła mu gwiazda. Smak był owocu, ale nigdy jeszcze czegoś takiego nie próbował. Zamknął oczy z rozkoszy i strumyczki radości - nie, fale, wielkie spienione grzywacze - obmyły go, pozostawiając wyczerpanego.

Kiedy już zjadł owoce, po czym zebrał do najmniejszej kropelki sok ze stołu, oblizał palce, wnętrze dłoni, usta i brodę, poczuł się wypełniony po brzegi kremowatością i zaspokojony.

Wreszcie opadł na krzesło z pozostałościami uśmiechu na twarzy. Dopiero po jakimś czasie poczuł, że ogarnia go spokój. Rozparł się wygodniej, by czekać na to, co nastąpi.

## Rozdział trzeci

Podczas gdy Arcadio Carnabuci czekał na miłość, daleko na południu Fernanda Ponderosa, otoczona swoją świtą, czekała również, nikt jednak nie wiedział na co. A potem całkowicie przypadkowe pojawienie się ciężarówki prowadzonej przez Ambrogia Bufaletiego rozpoczęło następny etap jej podróży.

Signor Bufaletti oblizwał się na widok tak pięknej kobiety. Był jednak przede wszystkim człowiekiem interesu i nie pozwalał, by zaślepiała go żądza. Postawił więc twarde warunki. Negocjacje się przedłużały, komplikowane przez fakt, że Fernanda, podążając za swoim instynktem, nie wiedziała właściwie, dokąd się udaje. Opuściwszy powieki, usiłowała wyczuć to miejsce, podczas gdy Ambrogio Bufaletti wznosił oczy do nieba i wykonał gest pełen zniecierpliwienia.

Oczyma duszy Fernanda Ponderosa widziała potężnego, nagiego mężczyznę z dzikim wzrokiem. Czowała też aromat pieczonego chleba. Widziała łąki pełne dzwonek, a także świnie, zarówno domowe, jak i dzikie, z szablami. Słyszała ich chrząkanie i parsknięcia. I widziała ser, który sprawił, że zaczęła kichać. Ujrzała gaje oliwne, rozciągające się na łagodnych wzniesieniach. I ręce wyrabiające kielbasy. Czowała leciutkie pocałunki na swoim karku. I smak szynki. Widziała równe rządki winorośli. Widziała ciemne lasy. A potem, niespodziewanie, zobaczyła też cmentarz.

- Góry - powiedziała w końcu. Jej głos był niski, prawie zbyt niski jak na kobietę. Rezonował, jakby dobiegał z głębokich podziemi. Sprawił, że wszyscy marynarze, dokerzy, rybacy i celnicy wałęsający się po nabrzeżu zatrzymali się i popatrzyli w jej stronę. Ich zainteresowanie pochlebiali jej, ale nie dała po sobie poznać, że je dostrzega.

Ambrogio Bufaletti nie podjął próby oderwania wzroku od wspaniałych piersi Fernandy.

- Chce pani jechać w Himalaje, signora? - zapytał.

- Po prostu na wschód, signor - odrzekła z błyskiem ciemnych oczu. - Poprowadzę pana.

Ambrogio Bufaletti nalegał na zapłatę z góry i w gotówce. Dopiero gdy wsiadł do szoferki i wyruszył na poszukiwania górzystego regionu, który przed oczami wyobraźni miała Fernanda Ponderosa, dopiero wtedy, gdy ciężarówka zniknęła im z oczu, komiwojażerowie poczuli, że wypadałoby zejść po trapie i, ciągnąc za sobą ciężkie walizy, zająć się interesami.

Tak właśnie rozpoczęła się podróż, która w koszmarach sennych miała prześladować małą przez całe lata. To, co pozostało jeszcze z cierpliwości siedzącego za kierownicą Am-

brogia Bufalettiego, uleciało przez okno wraz z dymem papierosów, które palił jeden za drugim. Wolał patrzeć na Fernandę Ponderosę niż na drogę, i mimo próśb kobiety, by skupił się wyłącznie na prowadzeniu, zerkał co chwila na nią. Wijącą się drogę przecinał w linii prostej, nadjeżdżające z przeciwka samochody musiały więc skręcać do rowów, by uniknąć kolizji. Pędził z prędkością, której konstruktorzy jego rozklekotanego pojazdu w ogóle nie brali pod uwagę, i nie zważał na części odpadające z ciężarówki, wyznaczające szlak ich podróży. W miasteczkach wjeżdżał na chodnik, by znaleźć skrót, pozwalający ominąć korek. W Collesalveti przedzierał się przez grupy zakonnic, płosząc je niczym gołębie. W Ponsacco zatrzymywał ich karabinier, Ambrosio Bufaletti jednak zlekceważył jego znaki i wcisnął gaz do dechy, zostawiając funkcjonariusza kaszłającego w obłoku sinego dymu, gdy ten przez krótkofalówkę wzywał posiłki. Podróż dopiero się rozpoczęła, a już uciekali przed organami ścigania.

Małpka przycisnęła swe małe rączki do mordki i tylko od czasu do czasu pozwalała sobie na płaczliwe kwilenia, ledwie słyszalne pośród ryku silnika i przekleństw kierowcy.

Fernanda Ponderosa również zamknęła oczy. Ambrosio Bufaletti wykorzystywał okazję, muskając ręką jej udo za każdym razem, gdy zmieniał bieg. Starła się ignorować to ewidentne molestowanie, lecz kiedy stał się śmielszy i sięgnął do jej piersi, przydzwoniła mu w głowę najbliższą rzeczą, jaką miała pod ręką, czyli blaszaną tacką. Zaskoczony, stracił panowanie nad kierownicą, ledwie unikając zderzenia z barierką mostu i osunięcia się w rwący nurt rzeki.

Chociaż nic nie powiedział, nie był zadowolony i atmosfera w zadymionej szoferce zdecydowanie się pogorszyła. W pewnej chwili rozmyślnie uniósł obie ręce, potęgując przerażenie kobiety. Z trudem powstrzymała się od krzyku i chwyciła kierownicę. Zamierzała wygrać tę wojnę nerwów.

Przejechali wzdłuż i wszerz Florencję, ponieważ Ambrogio Bufaletti ciągle mylił drogę. Japońscy turyści, podążający za machającymi chorągiewkami przewodnikami, czmychali w popłochu, kiedy ciężarówka wjeżdżała między nich. Zamazany obraz ponurej twarzy Fernandy Ponderosy został utrwalony przez tysiące aparatów z teleobiektywami. Katedra Duomo zaczęła mieć zawroty głowy, kiedy ciężarówka okrążyła ją po raz dwudziesty. Fontana di Nettuno, Palazzo Vecchio, Davide, Uffizi, Arno bez przerwy wirowały za oknem. W końcu udało im się wyjechać i znów znaleźli się na właściwej drodze, zostawiając w spokoju skarby miasta i oszłomionych turystów.

Po wielu godzinach i pokonaniu wielu kilometrów Fernanda Ponderosa odniosła wrażenie, że w końcu znajdują się bliżej końca podróży. Krajobraz zdawał się znajomy, mimo że

nigdy nie bawiła w tym regionie. Miała uczucie, że rozpoznaje łagodne wzniesienia, przemieniające się na niebieskawym horyzoncie w strome szczyty, miasteczka na wzgórzach i domy z kremowo-różowego kamienia, gaje oliwne, winnice i zadbane pola wielobarwnych upraw. Kiedy zapadał zmrok, znaleźli się za murami prastarego miasta - Nursji.

## Rozdział czwarty

Tak oto Fernanda Ponderosa zbliżała się do mężczyzny, który czekał na nią od tak dawna.

Odkąd przebudził się tego ranka, po kolejnej gorącej, pełnej szalonych snów nocy, pochwyliło go i zaczęło ścisnąć podniecenie. Instykt podpowiedział mu, co to oznacza: Fernanda będzie tu już wkrótce.

Nie miał pojęcia, jak przeżył ten dzień. Biegał po swoim gaju oliwnym, próbując wziąć się do roboty, był jednak zbyt niespokojny, w końcu więc sędziwe drzewa przepędziły go i same zajęły się pielęgnowaniem oliwek.

Wpadł do swojej chatki i chodził tanecznym krokiem z jednego pokoju do drugiego. Zaczął nawet sprzątać, w rzeczywistości robiąc tylko jeszcze większy bałagan. Rozważał posłanie łóżka swoją cudowną pościelą, ale nawet on zrozumiał w końcu, że jest na to jeszcze za wcześnie. Dom w każdym razie nie miał znaczenia. Byłby głupcem, gdyby teraz przejmował się porządkami.

Z uśmiechem wybiegł na dwór i wyciągnął ręce do błękitnego nieba. Zaczął płakać ze szczęścia. Radość oczekiwania była prawie nie do zniesienia.

W miarę jak mijał dzień, euforia zaczęła przeradzać się w zniecierpliwienie. Kiedy się ochłodziło i zmrok zaczął się przygotowywać do zapadnięcia nad równiną, Arcadio Carnabuci chwycił siekiere i zaczął rąbać drewno na opał, byle tylko dać upust przepelniającej go energii. Robił to z siłą człowieka dwa razy od siebie większego. Rozłupał wielki pień tak gwałtownie, że w powietrze wzbila się smuga pyłu. Był tak zajęty, że nie zauważył rozklekotanej ciężarówki, która z mozołem pięła się drogą za jego domem i skręciła do sąsiedniego gospodarstwa.

W tej samej chwili Ambrogio Bufaletti sięgnął nadszarpniętych krańców swojej już i tak bliskiej wyczerpania cierpliwości. Postanowił po prostu udać, że jego samochód ma awarię i wyładować Fernandę Ponderosę wraz z bagażem na pobocze, po czym wrócić do domu. Ta po-

dróż trwała już za długo. Jego klientka wyglądała przepięknie, od początku jednak była do niego nieprzyjaźnie nastawiona. I tak nic z nią nie wskóra. Kiedy już miał nacisnąć hamulec, Fernanda zauważyła dom, w którym natychmiast rozpoznała cel swojej podróży.

- Proszę się zatrzymać! - krzyknęła, co też Ambrogio Bufaletti oczywiście bezzwłocznie uczynił.

Siła nagłego hamowania przesunęła ładunek na pace ciężarówki do przodu, a potem równie szybko do tyłu. Żółwie w akwariium utworzyły wieżę, bezradnie machając nóżkami w powietrzu. Małpka wpadła na przednią szybę, co przypłaciła paskudnym siniakiem na głowie. Rzeczy Fernandy Ponderosy wymieszały się z sobą w meblowym gulaszu. Zszokowany zegar wybijać zaczął melodyjkę zarezerwowaną tylko na święta. Ciężarówka zatrzęsała się i odpadły z niej ostatnie części: rura wydechowa, tablica rejestracyjna i reflektor. Wyglądało na to, że był to jej ostatni wyścig, a zarazem przedśmiertne rzeźenie. Signor Bufaletti wyrzucił z siebie serię przekleństw.

Bezceremonialnie zaczął wyładowywać dobytek na podwórko domu, przy którym się zatrzymał, i robił to naprawdę szybko, jakby z obawy, że kobieta się rozmyśli i każe mu jechać dalej.

Gdy tylko ciężarówka odpyrkotała, Fernanda podjęła próbę odnalezienia wejścia do budynku. Zbudowany z miejscowego różowo-żółtego piaskowca, osiadł, zupełnie jakby setki lat temu zaczął zapadać się pod ziemię i obecnie stanowił jej składnik. Nawet dach był przygięty, upodabniając się do znoszonego kapelusza. Balustrada balkonu zapadła się ze starości. Okiennice, ze złuszczoną ciemnozieloną farbą, były zamknięte jak powieki. Wszystkie drzwi okazały się zaryglowane.

Mrok zaczynał barwić niebo na szaro i wiosenne powietrze raptownie utraciło ciepło. Fernandę przeszył dreszcz. Nie słyszała żadnego dźwięku, z wyjątkiem nieobliczalnego dzwonięcia zegara i odległego odgłosu rąbania drewna. Zarzuciła pelerynę i obesła cały dom, starając się dojrzeć coś przez listewki okiennic. Dlaczego intuicja przywiodła ją właśnie tutaj? Co to za miejsce? Jaki miało z nią związek?

Nagle rozległ się wrzask, niwecząc spokój i powodując, że samotny gołąb siedzący na dachu, odleciał z trzepotem skrzydeł. Dziko wyglądająca kobieta, która wyrosła jak spod ziemi, wylała na swoje chodaki mleko, które niosła w dwóch kankach i padła bez czucia na ziemię. Zupełnie jakby ktoś do niej strzelił. Czyżby nie żyła?

Fernanda Ponderosa rozejrzała się wokół w poszukiwaniu snajpera, ponieważ jednak nigdzie go nie dostrzegła, zaniepokojona podbiegła do kobiety. Nie, nie była martwa; oddychała! Kiedy otworzyła oczy, stało się jasne, że ma straszliwego zeza.

- Święta Mario, Matko Boża! - wykrzyknęła, odzyskując przytomność. - Żywy trup! Silvana, czego ode mnie chcesz?

- Silvana? - wysapała Fernanda. - Silvana jest tutaj? Gdzie? - Nagle zrozumiała, dlaczego musiała tutaj przyjechać. Z powodu Silvany, swojej siostry bliźniaczki, której nie widziała już od osiemnastu lat.

- Na cmentarzu, a gdzieżby indziej? - Patrząc ze zdumieniem na Fernandę, kobieta dodała: - Ona nie żyje.

- Nie żyje!

- Tak, nie żyje. Gryzie ziemię od ponad pół roku. Myślałam, że to ona. Włosy stanęły mi dęba. Nigdy nie wspominała, że ma siostrę bliźniaczkę...

- Silvana nie żyje! - głos Fernandy Ponderosy nagle się załamał, a jej twarz wykrzywiła się z bólu.

- Zabita na śmierć - potwierdziła z goryczą Maria Calenda - od uderzenia pioruna. Spalona na wiór. Najgorsza burza w historii regionu. Chcieliśmy wysłać telegram do krewnych, ale nie wiedzieliśmy, gdzie mieszkają. Fidelio też pewnie nie żyje. Po prostu odszedł, postradał zmysły, zniknął z powierzchni ziemi. Szukali go wszędzie. Powiadają, że napadły go wilki. Gospodarka podupada. Muszę zajmować się wszystkim. Robić ser, oporządzać świnki, kozy, krowy, owce. Nie wiem, co jeszcze. Primo stara się pracować za trzech w sklepie. Kielbasy. Szynki. Wszędzie szpiedzy. Kłopoty z Maddalonimi. Zakłady Mięsne Pucilla chcą nas zniszczyć. Czarna rozpacz człowieka ogarnia, jak sobie o tym wszystkim pomyśli. Interes diabli wezmą. Wszyscy wylądujemy na bruku.

Fernanda Ponderosa była ogłuszona. Jej siostra nie żyła. Chociaż nie widziały się od tylu lat, zawsze wierzyła, że pewnego dnia zakopią topór wojenny. Ogarnął ją smutek. Silvana zabrała ten topór z sobą do grobu.

Kiedy tylko się pozbierała, poszła na cmentarz, postanowiwszy tam poszukać pojednania. Czas pogodzić się z siostrą. Zostawiła swoje rzeczy na podwórku, gdzie utworzyły pokój bez ścian i sufitu, zapraszając przechodzących obok do wyciągnięcia się na szezlongu, przeczytania książki, nalania sobie drinka.



Chociaż okolica nie była jej znana, wiedziała, dokąd iść, nie pytając nikogo o drogę. Wzniesienia i góry nie stanowiły dla niej niespodzianki. Czowała się tak, jakby odwiedzała to miejsce ponownie po wielu latach.

Gdy szła w zapadającym mroku, jej ciało stawało się coraz bardziej ociężałe. Jak to możliwe, że nie wyczuła śmierci Silvany? Ona, która szczyciła się posiadaniem szóstego zmysłu. Odtwarzała wydarzenia ostatnich sześciu miesięcy. Wracała do swoich snów i myśli. Czy było coś, co na to wskazywało, w ogóle cokolwiek? Przeszukiwała zakamarki zmęczonego umysłu, niczego jednak nie znajdując. Po prostu nie potrafiła tego wyjaśnić.

Nogi zaprowadziły ją na cmentarz bez udziału świadomości. Instynkt podpowiedział, by udała się do mauzoleum, budynku z różowego marmuru. W środku ujrzała swoją twarz, patrzącą z owalnej fotografii, czarno-białego zdjęcia, którego nie pamiętała. Pod nim wyryte było imię siostry i jej nazwisko po mężu: SILVANA CASTORINI, a także data śmierci. Zadrżała. Czowała się, jakby stała nad swoim grobem.

Uklękła na zimnym marmurze i zaczęła przemawiać do siostry słowami, które chciała powiedzieć jej jeszcze za życia; słowami, które Arcadio Carnabuci, ukryty za nagrobkiem rodziny Bottich, nadaremnie usiłował usłyszeć. Chociaż była za daleko, by rozumiał coś z jej żarliwej przemowy, wyczuwał tembr jej głosu, który wznosił się i opadał jak magiczna fontanna. Przeszył go dreszczem niczym wpuszczony za kołnierz sopel lodu. Upajał się jego aksamitną barwą, bliskością ukochanej i spokojem cmentarza. Mógłby tak stać do końca swoich dni.

Mimo że Arcadio przegapił pojawienie się ciężarówki, nie musiało minąć dużo czasu, by dowiedział się o jej przyjeździe. W małych miasteczkach wieści rozchodzą się szybko. Tak było i z tą zadziwiającą nowiną, że siostra bliźniaczka Silvany Castorini przybyła, by pomóc zażegnać kryzys w rodzinie.

Arcadio Carnabuci od razu domyślił się, że piękna nieznajoma jest miłością jego życia. Jego Fernandą. W końcu się zjawiała. Nigdy w to nie wątpił, nawet wtedy, gdy jego położenie wydawało się beznadziejne i miał świadomość, że wszyscy się z niego naśmiewają. Osiemnaście lat temu wydawało mu się, że żywi uczucie do Silvany. Zanim wyszła za Fidelia

Castoriniego i, prawdę mówiąc, również przez krótki czas potem, odnosił wrażenie, że przybyła tu specjalnie dla niego. Teraz jednak zrozumiał: po prostu pomylił jedną siostrę z drugą. W końcu przyjechała właściwa bliźniaczka! Nie mógł powstrzymać podniecenia. Rzucił siekierę i wybiegł z podwórka. I wtedy ujrzał, że jego ukochana idzie na cmentarz. Ruszył za nią, nie mając odwagi, by ją dogonić.

Mimo ciemności wpatrywał się w nią cały czas. Nie mogąc zbyt dużo dojrzeć, rozkoszował się przynajmniej odgłosem jej małych stópek na asfalcie. Pragnął położyć się na drodze i całować miejsca, po których stapała, ale nie miał na to czasu. Szła szybko i musiał uważać, by dotrzymać jej kroku, a zarazem nie iść zbyt blisko, bo wtedy by go dostrzegła. Mimo że chciał się natychmiast zdeklarować, cieszył się, że najpierw może zapoznać się z nią w tajemnicy.

Kiedy tak spieszył drogą, podążając tropem ukochanej, upajał się myślą, że oddycha tym samym powietrzem, którym oddycha teraz ona. Krążyło w jej doskonałych płucach, wydobywało się z jej zachwycających ust i nozdrzy, i leciało ku niemu. Jakież to cudowne! Wciągał głęboko powietrze, by maksymalnie skorzystać, chociaż o mały włos nie skończyło się to dla niego atakiem astmy, na którą cierpiał przez całe życie.

## Rozdział piąty

Gdy tylko Fernanda Ponderosa powiedziała, co miała powiedzieć, wstała i rozprostowała swoje zgrabne nogi. Bolały ją kolana. Masując je, nagle poczuła, że ktoś jej się przypatruje. Bzdura, doszła do wniosku.

- Wystraszyłaś się duchów, Fernando Ponderosa? - zbesztiała samą siebie.

Kiedy wracała do domu siostry, Arcadio Carnabuci podążał za nią, a ja szłam z kolei za nim. Nie mogłam nic na to poradzić. Tam, gdzie był on, musiałam być i ja.

Arcadio i jego owoce miłości naruszyły delikatną równowagę w przyrodzie. Stałam się jedną z pierwszych ofiar tego zamieszania. Tak, ja, Gezabel, mulica regionalnego wydziału zdrowia, zakochałam się w człowieku. Mimo że śmieszny i żaloszny dla innych ludzi, dla mnie był bogiem.

Do zeszłego wtorku nie zdawałam sobie sprawy z jego istnienia. Oczywiście, widywałam go, gdy doglądał gaju oliwnego, w polu i w miasteczku, ale nigdy nie zauważałam w nim mężczyzny. Jednak tego wieczoru dopadły mnie gorące sny, które sprawiły, że osłabłam i zaczęłam chwiać się na nogach. Jego żarliwe spojrzenie obiecywało namiętność, której nigdy nie zaznałabym z mułem. Dotyk jego ręki na mojej sierści parzył. Stałam się rozpalona, wilgotna i wiotka. Szliśmy razem przez wiosenną trawę. Piliśmy z tego samego kryształowego źródła, a potem przycisnął swoje malutkie usteczka do moich miękkich fałd. Później, gdy leżeliśmy na wygodnym łóżku w jego domu, całował moje delikatne kopytka. Ta pieszczota sprawiała, że prze-

szywał mnie dreszcz, który obudził moje długo uspięne zmysły. Kochaliśmy się przez powolne godziny tej parnej nocy, a kiedy nastał dzień, byłam jego i tylko jego.

Gdy się ocknęłam, obudzona przez okrutną Concettę Crocettę, która przyniosła mi owies, byłam wyczerpana, ociężała i cała w białej pianie potu, który sprawił, że pielęgniarka zmierzyła mi temperaturę. Nie mogłam sobie poradzić ze śniadaniem z powodu motylków latających mi w brzuchu. Były ich tysiące, a najmniejsze miały jasnożółte skrzydełka.

Od tej chwili trawiło mnie pożądanie - tak ogromne, że nie mogłam sobie z nim poradzić. Znowu byłam żrebakiem. Wszędzie czułam zapach róż. Kręciło mi się w głowie, stałam się nerwowa, podniecona bez powodu; było mi gorąco i zimno na przemian. Drżałam, pociłam się, nie mogłam jeść ani spać. Żyłam tylko po to, by go zobaczyć, i mnóstwo razy specjalnie szłam okreśną drogą obok jego chaty (czego pielęgniarka zdawała się nie dostrzegać, jak zwykle pograżona w myślach), tylko po to, by go przelotnie ujrzeć, co zawsze sprawiało, że mój puls przyspieszał, a serce waliło jak oszalałe.

Moje długie uszy słyszały muzykę w wietrze szeleszczącym w łanach pszenicy. W westchnieniach gołębic. W odgłosach nocy. Nade wszystko zaś uwielbiałam śpiew Arcadia, ponieważ jego głos mógł zaczarować liście na drzewach, kamienie w górach, nurt rzeki.

Po skończonej pracy, gdy nie było nocnych zgłoszeń, czasami wymykałam się cichutko ze stajni i na czubkach kopyt szłam do chaty Arcadia, by popatrzeć na niego przez okna. Nie podglądałam go, naprawdę. Po prostu chciałam go zobaczyć. Nie mogłam znieść myśli o dniu bez rzucenia choćby jednego spojrzenia na ukochanego. Potem blask świecy w jego domu topił moje serce i wyobrażałam sobie, że jestem z nim w ciepłym wnętrzu, zupełnie tak, jak w moich snach.

Jednak na zewnątrz tych fantazji było zimno. Wiedziałam, że mnie nie zauważa. Nawet nie brał mnie pod uwagę. I to sprawiało, że moja rozpacz była gorzka jak cytryna. Na zewnątrz, tak, miałam wygląd mulicy, ale czyż w środku nie byłam piękną kobietą ze zgrabnymi nogami i rękami oraz błyszczącymi brązowymi włosami? Jak jednak miałam sprawić, by Arcadio Carnabuci to zauważył, skoro gdy patrzył na mnie, widział jedynie zakurzone szare futro, teraz wytarte i trochę wyliniałe, blady pysk, przesycony owsem oddech, żółtawe zęby i szerokie nozdrza muła? To było moje nieszczęście. Mój krzyż. A teraz na dodatek ta olśniewająco piękna nieznajoma, prawdziwa kobieta, weszła pomiędzy nas. Jakże przy niej miałam szansę?

I tak oto nasza mała procesja podążała za Fernandą Ponderosą z powrotem do domu Castorinich. Arcadio szedł równym krokiem z nią, starając się być jak najbliżej. A ja usiłowałam być jak najbliżej niego.

Niedługo potem doszliśmy na miejsce. W jednym z pokoi na górze, tym z balkonem, zapaliło się światło, błyszcząc przez szpary w okiennicach. Noc była jasna, księżyc w pełni (dobry znak dla zakochanych), a niebo usiane tysiącami gwiazd, jasnych światów oddalonych o miliony kilometrów. Niektóre z nich pewnie już nie istniały. Czuło się, że to najbardziej romantyczna noc ze wszystkich romantycznych nocy świata.

W świetle księżycy i gwiazd Arcadio Carnabuci zauważył przedmioty stojące na podwórku. Wydało mu się dziwne, że ktoś zostawia meble przed domem, nic sobie nie robiąc z szajki złodziejskiej Nellino, która kradła wszystko, co nie było zamknięte na cztery spusty i strzeżone przez złego psa.

Niemniej jednak wyciągnął się na szeszlengu i spojrzał w górę w okno pokoju, w którym przebywała jego ukochana. Marząc, myślał o tym, jak różowy plusz ocierał się o jej pośladki, tak jak teraz ocierał się o jego. Potem, pod wpływem księżycy, gwiazd i śpiewu nocnych stworzeń - sów, nietoperzy i cykad, norników i traszek - dotarło do Arcadia, co powinien zrobić. Powinien zaśpiewać. Zaśpiewać Fernandzie, a tym samym wyznać miłość w sposób, który znał najlepiej.

Drżał. Ledwo wierzył w to, co mu się przytrafiło. Wiedział, że tutaj, tej nocy, na jego oczach dzieje się historia. Reszta jego życia zależy od piosenki, którą miał wydobyć ze swoich ust. Bohaterka namiętnych snów była tutaj, teraz, i chciał rozkoszować się tą chwilą, ostatnim gorzko-słodkim momentem samotności i ściskającego serce pożądania, tak bliskiego spełnienia, momentem, który da początek ich wspólnemu, pięknemu życiu. Czekać tak długo, minutę, czy nawet dwie... pod wieloma względami była to przesada, ale Arcadio Carnabuci mógł sobie na to pozwolić.

Z oczami utkwionymi w gwiazdach, mrugających daleko na nocnym niebie, stanął pod balkonem z precyzją śpiewaka operowego występującego na scenie. Wolno zaczerpnął tchu, po czym, z rozmysłem zwilżył usta i popłynęły z nich czyste tony, które wspięły się na firmament, powodując, że ludzie w całym regionie zaczęli wzdychać i płakać, zachwyceni ich pięknem. Zdawało się, że na całym świecie nagle zapadła cisza i dźwięk trwał dalej, niesiony przez wiatr na ogromne odległości.

Wysoko w górach pustelnik Neddo został wyrwany z kontemplacji i szczerze uwierzył w to, że wreszcie doszedł objawienia. Jego przyjaciele, niedźwiedzie brunatne, wynurzyły się ze swoich jaskiń i zaczęły tańczyć w rytm muzyki, która spływała z gwiazd. Niżej, na pogórzu, pasterze znieruchomieli w zdumieniu pośród stada i nowo narodzonych owieczek i zastanawiali się, czy ta przepiękna pieśń zwiastuje powtórne przyjście Mesjasza, na próżno jednak patrzyli na wschód, szukając gwiazdy, która miałaby wskazać im drogę. Krążące wokół stada wilki, śliniące się na widok miękkich jagniątek, ujęte pięknem pieśni porzuciły myśl o kolacji i też wzniosły swoje głosy do nieba.

Mieszkańcy miasteczka otworzyli na oścież okna albo stanęli w drzwiach oczarowani muzyką. Nawet piekarz, Luigi Bordino, oderwał się od zagniatania ciasta, otrzepał mąkę z rąk i podszedł do drzwi swojej piekarni. Fedra Brini przestała tkać. Speranza Patti odłożyła książkę, którą czytała. Moja pani wyrwała się z rozmyślań o doktorze Amilcare Croce.

Co mógł oznaczać ten anielski śpiew, który niósł się po nocnym niebie?

Wdowa Maddaloni zinterpretowała go jako requiem na cześć męża, zmarłego w tajemniczych okolicznościach na początku tygodnia.

- To na pewno jakiś anioł zagubiony na ziemi -orzekła Teresa Marta, którą ślepotą obdarzyła najlepszym słuchem w okolicy. - Nie słyszycie tęsknego piękna tej pieśni? To anioł, któremu musimy pomóc znaleźć drogę do niebiańskiego chóru.

Pomimo zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań, samotny anioł nie został odnaleziony. Skonsternowani mieszkańcy stali na ulicach z opuszczonymi głowami, jakby pogrążeni w cichej modlitwie, a padre Arcangelo chodził pomiędzy nimi, udzielając błogosławieństw i mocno wierząc, że wszyscy dostąpili cudu.

Jedyną osobą w okolicy, która nie została uwiedziona tą cudowną melodią, był Primo Castorini. Mówiąc szczerze, nie słyszał ani jednej nutki. Schowany jak zwykle w chłodni Szczęśliwej Świnki, całą noc opracowywał tajemne receptury swoich kielbas. Był tak skupiony, że nic do niego nie docierało. Wkładał w tę pracę całego siebie. Niewiarygodne, ale w przeszłości zdarzyło mu się nie zauważyć nawet trzęsienia ziemi, dopokąd dach nie zawalił mu się na głowę. Tak więc żadna pieśń, nawet cudowna, nie miała prawa oderwać jego uwagi od kielbas i szynek, które były całym jego życiem.

Pieśń Arcadia Carnabuciego powtarzały żaby siedzące w liliach wodnych, łabędzie na odległym jeziorze, srebrnym w poświacie księżyca, i górskie wodospady. Melodia została podjęta przez jaskółki unoszące się pośród nut i przez każde żywe stworzenie w okolicy, nawet

polne myszy i owady. Z migdałowców opadł dywan pachnących kwiatów. Posąg bogini Afrodyty, wypchnięty brutalnie z ciężarówki przez Ambrosia Bufalettiego, lkał cichutko, a marmurowe lzy mieszały się z kurzem. Zaraz za podwórkiem, ukryta za żywopłotem, stałam drżąca ja. Na moje długie rzęsy nanizane były łożki, jak kryształowe koraliki na liczydło. Z ich pomocą zaczęłam obliczać cenę tej swojej beznadziejnej miłości.

W końcu okiennice się otwarły i na balkonie stanęła Fernanda Ponderosa.

- Kto tam? - jej donośny szept rozproszył magię nocy.

Arcadio Carnabuci wszedł w krąg światła rzucanego przez jej lampę, ale nawet na chwilę nie przestał śpiewać. Pieśń go poniosła, stał się jej niewolnikiem, instrumentem i nie mając wyboru, musiał być posłuszny jej rozkazom.

Fernanda nie odpowiadała dokładnie postaci z jego snów. Była trochę starsza niż kobieta, której oczekiwał. To nawet lepiej. Przynajmniej jedno z nich będzie świadome tego, co robią. Chociaż bardziej dojrzała, była jednak znacznie piękniejsza niż w jego wyobraźni. Oczy jego serca odmalowały ją po prostu niezbyt dokładnie.

Jej bujne ciało było olśniewające; o ileż lepiej będzie zanurzyć się w jej miękkościach podobnych do bitej śmietany albo wypełnionego gęsim pierzem materaca, niż w tym drobnym i kościstym ciele, którego się spodziewał. Z całą pewnością była większa od niego, ale lubił duże kobiety. Więcej do tulenia. Więcej ciepła w zimową noc.

Nie tracąc rytmu ani melodii, wchłaniał jak gąbka każdy szczegół jej wyglądu. Oczy nie były zielone, lecz ciemnobrązowe, prawie czarne. Błyszczały w świetle lampy. Usta miała pełne i wydatne. Włosy nie przypominały barwą zmatowiałego złota - były czarne, grube i gęste, bujne, puszyste i onieśmielające. Jak tęsknił za tym, by się nimi pobawić. Przez całe życie mógłby je poprawiać i powstrzymywać przed opadaniem na oczy albo wpadaniem do ust. Palce zaciśnięte na lampie nie były wcale smukłe, ale zaokrąglone, upierścienione, po prostu śliczne. Poematy sławiące przymioty jej ciała wypełnić mogły tysiące tomów. Oczywiście jego żalсна wyobraźnia nie była w stanie ukazać mu przedtem tego wszystkiego.

Kiedy stała tam w świetle lampy, spoglądając na niego z balkonu, otaczające ich pęcherzyki powietrza nabrały ciepła i miękkości aksamitu, choć był zaledwie koniec kwietnia, a pieśń napełniała każde wolne miejsce we wszechświecie pięknem nie do opisania. Arcadio z trudem powstrzymywał się od łez. Ale popłacze sobie później. Teraz musiał śpiewać. Śpiewaj, a potem... cóż, co to ma za znaczenie, co będzie potem? Więc śpiewał, pragnąc, błagając ją, by w zamian go pokochała. Jego głos był wyznaniem uczuć, co do tego nie mogło być wątpliwo-

ści. Kontrastowały w nim *largetta* i *allegretta*, *crescenda* i *diminuenda*, które wydawały się unosić w powietrzu jak pierze, podczas gdy zachwyceni słuchacze prawie zapominali o oddychaniu.

Stojąca na balkonie Fernanda Ponderosa czekała, drżąc nieznacznie, mimo że nie było jej zimno. W końcu zrobiła krok do przodu i otworzyła swe wydatne usta. Czyżby chciała przyłączyć się do śpiewu?

- Signor - powiedziała spokojnie, z trudem hamując wściekłość. - Błagam, niech pan przestanie wyć.

Jednak Arcadio Carnabuci nie przestał. Prawdopodobnie nie usłyszał tych słów, zagłuszając je własnym głosem. Więc śpiewał dalej. A kiedy to robił, całował koniuszki swoich paluchów, paluchów, nieproporcjonalnie wielkich w stosunku do reszty wątłego ciała, paluchów, które sprawiły, że Fernanda wzdrygnęła się i jeszcze bardziej uodporniła na wdzięki adoratora. Hodowca oliwek nie miał pojęcia, że palce były ostatnim gwoździem do jego trumny i machał dłonią, zupełnie jakby rozrzucał pocałunki niczym czerwone płatki róż.

Wróciła do pokoju. W serce Arcadia wstąpiła nadzieja. Czyżby zamierzała do niego dołączyć, uścisnąć jego palce swoimi upierścienionymi paluszkami i wyznać mu miłość? Omal nie zemdlął z wrażenia.

Zamiast tego jednak pojawiła się z powrotem na balkonie z wiadrem wody i wylała ją wprost na głowę nieszczęśnika. Cóż za tragedia! Ze wszystkich ludzi w regionie ona jedna pozostała nieporuszona tą pieśnią. Nigdy nie przepadała za muzyką.

Zapadła cisza, jak zapada kurtyna po przedstawieniu, którego końca nikt się nie spodziewał. Fernanda Ponderosa wróciła do pokoju i zamknęła za sobą okiennice. Chociaż Arcadio Carnabuci był mokry i chwilowo niczego wokół siebie nie widział, zupełnie nie rozumiał, co się stało. To nie była reakcja, jakiej oczekiwał. Po pewnym czasie poczuł niepokój. Musiał jej jakoś uchybić. Skurczony do połowy swoich normalnych rozmiarów powłókł się do chaty.

A ja poszłam za nim w ciemności, z sercem krwawiącym z powodu niepojętego okrucieństwa tego świata.

# Część druga

## KIEŁKOWANIE

### Rozdział pierwszy

W końcu, wyczerpana do granic możliwości przez uniesienie i rozpacz, zrezygnowałam z wystawiania przed jego chatą w nadziei na to, że wyjdzie i zaprosi mnie do środka. Wszystkie jego myśli dotyczyły przecież nieznanym. Moja sytuacja była po prostu beznadziejna. Nawet mnie nie zauważał.

Powłócząc kopytkami, wróciłam do miasteczka. Weszłam na podwórko przed domem Concetty Crocetty z większą żalnością w sercu, niż mogło ono pomieścić. Ku swojemu zaskoczeniu i zawstydzeniu zobaczyłam pielęgniarkę chodzącą nerwowo w kółko z lampą w ręce.

- Gdzieś ty się podziewała? - gderała, nakładając siodło na mój grzbiet. - Chyba powinnam posłuchać dobrych rad i sprawić sobie motorower. Belinda Fondi zaczęła rodzić. Musimy się pospieszyć.

Mimo wyczerpania pozwoliłam się dosiąść i ruszyliśmy do domu Fondich. Z każdym krokiem czułam, że zostawiam na drodze odrobinę swojego smutku: kawałeczki złamanego serca, które będą kopane przez innych. Moja pani wciąż łajała mnie za zniknięcie i zwierzyła się ze swojego zamiaru uwiązania mnie w stajni na powrozie. Żaden jednak powróż nie mógł mnie powstrzymać przed wymykaniem się do ukochanego.

Ciemne niebo wydawało się ledwo utrzymywać spuchnięty księżyc. Gwiazdy mrugały do nas porozumiewawczo, a wysoko na firmamencie wciąż unosiły się ciche echa pieśni Arcadia Carnabuciego.

Przybyliśmy dosłownie w ostatniej chwili. Ledwo tylko Concetta Crocetta wyszorowała ręce w misce, przywdziała swój wykrochmalony biały fartuch i wyjęła narzędzia, a już dziecko, Serafino, przyszło na świat. Myjąc je, pielęgniarka zauważyła dwie niewielkie skazy na łopatkach maleństwa. Brodawki. W każdym razie tak to wyglądało.

- Nie ma powodów do paniki, kochaniecy - powiedziała do zaniepokojonych rodziców - mnóstwo dzieci je ma.



Jednak Belinda Fondi nie czuła się w pełni uspokojona. Pragnęła, by jej dziecko było idealne i chociaż starała się ze wszystkich sił robić dobrą minę do złej gry, tak naprawdę chciało jej się płakać.

- To przez ten śpiew, prawda? - zapytała Concetta Crocetta ze smutkiem. - To przez ten śpiew coś jest z dzieckiem nie tak.

- Nie, kochanieńka - odparła pielęgniarka - co za bzdury opowiadasz. To brodawki, jak amen w pacierzu.

Skoro jej praca dobiegła końca, Concetta Crocetta wyszła z domu i ujrzała mnie zjadającą niedojrzałe owoce z żywopłotu otaczającego podwórko. W czasie gdy była w środku, niebo zmieniło się z czarnego w szare. Księżyc zniknął za górami, a gwiazdy gasły jedna po drugiej. Powietrze było cieplejsze, łagodniejsze. Kiedy zmusiła mnie do porzucenia tego wczesnego śniadania, poczuła, że coś spadło na jej czepek. Drobiniki bieli zaczęły lądować na mojej kudłatej szarej sierści, na nieskazitelnej niebieskiej serży peleryny i na błyszczących butach pielęgniarki. Muskały jej twarz, kiedy spadały na ziemię. Concetta chwyciła jeden z kawałeczków. To było piórko, miękkie jak puch.

Piórka padały niczym deszcz. Po chwili pokryły mnie całą. Spojrzałam z ciekawością na swój grzbiet. Były na moich rękach, w moich uszach i w moich nozdrzach, powodując, że zaczęłam kichać. Pielęgniarka miała je na czepku i na ubraniu. Były w jej włosach, na jej twarzy, w jej ustach. Ziemia wokół nas pokryła się zaspami puchu. Niewiarygodne. Żadna z nas jeszcze czegoś takiego nie widziała.

W tej samej chwili obie zaczęłyśmy się śmiać. Mimo że mieszkałyśmy i pracowałyśmy razem od dwudziestu lat, od tego pięknego dnia, kiedy przyjechała do naszego regionu, Concetta Crocetta nigdy jeszcze nie słyszała mojego śmiechu. Była tak zaskoczona i rozbawiona, że zaczęła się śmiać jeszcze bardziej, a im więcej śmiała się ona, tym więcej śmiałam się i ja. Stałyśmy na podwórku Fondich zjednoczone widokiem tego małego cudu i chwilą prawdziwej radości.

Piórka wirowały jak płatki śniegu. Gdy moja pani zebrała je z powiek, ujrzała zbliżającego się doktora Amilcare Croce. Jej serce zabiło mocniej.

- Zdumiewające! - wykrzyknął z oddali. - Czytałem o tym, oczywiście, ale nigdy nie widziałem na własne oczy.

- Może jest to związane z tym dziwnym śpiewem w nocy. Słyszeliście go w Montebufo?

- Naturalnie. Przedziwne zjawisko. Wywołało powszechne wzburzenie. - Będący samotnikiem lekarz do tego stopnia odzwyczaił się od rozmów z ludźmi, że zanim się rozkręcił, zwykł wygłaszać krótkie, ostre zdania, odzwierciedlające jego galopujące myśli. - Zwierzęta maszerujące w stronę gór, chłopci usiłujący je zawrócić, msze na polach. Zabobon, oczywiście. Musi być jakieś racjonalne wyjaśnienie.

Doktor zamilkł; rumiane policzki Concetty Crocetty nigdy nie wyglądały tak ładnie jak w tej chwili, promieniejąc radością, śmiechem i zdrowiem w coraz jaśniejszym świetle. Amilcare Croce, z błyszczącymi oczami i piórkami w czarnych włosach, wyglądał jak student medycyny na wyblakłej fotografii, która stała na zaszczytnym miejscu na jego biurku.

Przestałam się już śmiać i patrząc na doktora kątem oka, odeszłam. Stukot moich kopytek został stłumiony przez dywan pierza. Lekarz i pielęgniarka poczuli się nagle skrepowani i patrzyli na siebie jak dwoje gamoniowatych nastolatków.

- Wszystko w porządku? - wskazał na dom, zgodnie z przewidywaniami bojąc się rozmawiać na tematy zawodowe.

- Tak - odparła krótko, świadoma, że czar prysł.

- Wymaga mojej wizyty?

- Zdecydowanie nie.

- To na razie.

- Na razie.

I odszedł, przedzierając się przez piórka, które już zaczynały topnieć. Crocetta Concetta otworzyła torbę i wyjęła fioletową, po czym umieściła w niej ostrożnie kilka piórek na pamiątkę. Do czasu, gdy dojechaliśmy do domu, na niebie zdążyło pojawić się słońce i, poza zawartością buteleczki, po cudzie nie pozostał najmniejszy ślad.

Niestety, lekarz i pielęgniarka nigdy nie byli w stanie odbyć rozmowy bez potwornego skrepowania. I chociaż pracowali razem przez dwadzieścia lat, odkąd oboje tu przyjechali, na dodatek, przez przypadek, tego samego dnia, młodzi i świeżo po szkołach, wciąż byli jak dwa statki, które mijają się w nocy.

Doktor Croce mieszkał sam w Montebufo, jakieś dwadzieścia kilometrów od naszego miasteczka, i mimo że małżeństwo nie powinno przeszkadzać w wypełnianiu z powodzeniem obowiązków, wciąż pozostawał samotny. Jego odmowa przeprowadzenia się w jakieś bardziej dogodne miejsce wiązała się z pewnym dziwactwem, które miało ogromny wpływ zarówno na jego życie osobiste, jak i zawodowe.

Nieufność do jakiegokolwiek innego środka transportu niż własne nogi nie pozwalała mu korzystać z usług konia, kuca czy muła, zarówno samych, jak i w kombinacjach z dwukólką, furmanką, powozem czy dorożką. W grę nie wchodziło też inne zwierzę: pogardzał osłami i bykami. Wypadek, który przeżył w dzieciństwie, spowodował, prócz rozbitej głowy, trwającą całe życie fobię przed rowerami i skuterami. Wyrzekł się pojazdów mechanicznych, takich jak samochód, ciągnik czy traktor. Nie przekonał się również nigdy do sań, tak samo jak do łodzi (inna sprawa, że w tym regionie nie korzystało się z żadnego z tych środków lokomocji). Helikopter także nie wchodził w grę; nawet gdyby doktor go zaakceptował, to i tak był zbyt kosztowny.

Krótko mówiąc, lekarz polegał na własnych nogach i kiedy pacjent mieszkał daleko, jedna wizyta domowa mogła mu zająć nawet cały dzień.

Z tego powodu mieszkańcy woleli korzystać z usług mojej wszechstronnie uzdolnionej pani, Concetty Crocetty, a doktora Croce, który zawsze przybywał za późno, uważali za cokolwiek ekscentrycznego. Jeśli przypadkiem udawało mu się dotrzeć na czas, było to uważane za niespodziewaną premię.

Podczas gdy lekarz niemal zawsze się spóźniał, my zawsze przybywałyśmy w samą porę. Pielęgniarki nawet nie trzeba było wzywać, jakoś zawsze zjawiała się w chwili, gdy jej obecność była najbardziej pożądana. Pędziła jak torpeda do pękniętego czyraka, niepokojącej wysypki czy niespodziewanych przedwczesnych skurczów porodowych. Ze zwyczajowym dobrym humorem i podnoszącym na duchu sposobem bycia nastawiała złamane kończyny, opatrywała poturbowanych przez dzika, leczyła zatrutych grzybami, ukąszonych przez węże, ofiary tętniaków, oparzeń, podtopień, ataków serca, omdleń, żółtaczek i ataków apopleksji.

Skoro już zrobiła, co do niej należało, przechodziła do następnego chorego, a wtedy lekarz właśnie pojawiał się w domu pierwszego pacjenta, zdyszany albo nie, w zależności od odległości, jaką musiał przebyć. Nie pozostawało mu nic innego, jak stanąć w drzwiach, przeprosić za spóźnienie i przez zaciśnięte zęby pochwalić robotę koleżanki.

Nawiasem mówiąc, doktor Croce od ciągłego chodzenia po górach nabrał nie lada tężyzny fizycznej. Jednak od czasu do czasu skurcz mięśni zmuszał go do pozostania w domu. Zgrzytał wtedy zębami, wiedząc, że Concetta Crocetta jest bardziej przydatna niż on.

Mimo tego wszystkiego było rzeczą powszechnie wiadomą, że lekarz i pielęgniarka mają się ku sobie.

Choć męska duma doktora Croce cierpiała z powodu poniżenia, jakiego zaznawał przez pielęgniarkę, nie winił jej za to, podobnie jak nie miał pretensji do siebie. W końcu nie mógł się przeprowadzić. I nie dysponował żadnym środkiem transportu. Takie były fakty i nie miał zamiaru tracić energii na rozważania typu „co by było, gdyby...”.

Kiedy przemierzał opustoszałe wyżyny i porośnięte lasami doliny, brnąc przez strumyki z krystaliczną wodą i pokonując szerokie i żyzne równiny, jego myśli niezmiennie skupione były na Concetcie Crocetcie i czuł, że zmierza do niej, że była nagrodą, czekającą na niego na mecie. A kiedy tam przybywał i czasami, co nie znaczy, że zawsze, miał na tyle dużo szczęścia, by ją zobaczyć, za każdym razem odkrywał w niej coś nowego i był znów ogłuszony jej pięknnością. Dojrzewała z każdym mijającym rokiem, który spędzała na czekaniu na niego, i ciągle zakochiwał się w niej z większą siłą.

Gdyby pielęgniarka zwlekała odrobinę dłużej z odjazdem z domu pacjenta; gdyby dała się poczęstować lemoniadą albo ciastem migdałowym w kuchni; gdyby, kiedy jechałyśmy szosami i bocznymi drogami, rozglądała się wokół w poszukiwaniu postaci, która czasami, jakże rzadko, się pojawiała; gdyby zmuszała mnie do wolnego chodzenia, wleczenia się podczas drogi powrotnej, a nie do truchtu - czy to by ją ośmieszyło?

No tak. On mógłby przyspieszyć, a ona zwolnić. Statystycznie rzecz biorąc, w końcu czasami by się spotykali. A jednak, mimo ogromnej wzajemnej czułości, nigdy nie potrafili pokonać przepaści, która dzieliła ich stosunki zawodowe od czegoś bardziej osobistego. Wciąż powtarzał się ten sam scenariusz. I nie było szans, by któreś z nich pozwoliło sobie na choćby odrobinę improwizacji. Rozgrywali tę samą partię szachów od dwudziestu lat i kończyła się ona zawsze tak samo - patem. A ponieważ każde cenne, upragnione spotkanie było niezmiennie rozczarowujące - sztywne, niezręczne, irytujące - jeszcze zanim się rozstali, każde tęskniło już do następnego, podczas którego może wszystko ułożyć się w końcu inaczej.

Deszcz piór stanowił doskonałą ku temu okazję. Ich rozmowa była najbardziej osobistą pogawędką, jaką kiedykolwiek odbyli. Pielęgniarka zawsze będzie ją przechowywać w pamięci, tak jak puch w szklanej fiolce. Będąc nadzwyczaj praktyczną kobietą, lata temu porzuciła wszelką nadzieję, że staną się dla siebie kimś więcej niż kolegami po fachu. Zbyt wiele najlepszych lat życia spędziła, wzdychając do doktora. Kochała go, to prawda, ale nie liczyła już na żadną odmianę.

## Rozdział drugi

Tymczasem Arcadio Carnabuci cierpiał z powodu kubła zimnej wody, którą wylała mu na głowę Fernanda Ponderosa. W myślach powtarzał tę scenę setki razy. Co zrobił nie tak? Nie mógł tego pojąć. Przeklinał siebie, choć nie rozumiał, na czym polegała jego wina. Jakim cudem wszystko poszło tak źle? Czyżby nie śpiewał wystarczająco dobrze? Myślał, że to będzie koncert jego życia. Lecz najwyraźniej się mylił. Nie wiedział już, co myśleć. Przewracał się w łóżku milion razy. Pizama określiła się wokół niego, przypominając kaftan bezpieczeństwa.

Mimo to wciąż nie tracił nadziei. Przecież w końcu przyjechała. Była tutaj. Obok. Rzeka prawdziwej miłości nigdy nie płynie łagodnie, zwykła powtarzać jego matka, a umizgi Carnabuciego seniora zdawały się tę prawdę potwierdzać. Nie może tracić nadziei. Musi wszystko naprawić. Rankiem stanie przed nią raz jeszcze. Teraz było już za późno. Nazajutrz jego ukochana zrozumie, że działała zbyt pochopnie.

Nadejdą jeszcze dni, że będą się z tego śmiać wraz ze swoimi synami. Tak, to incydent bez znaczenia. Była zmęczona podróżą. A poza tym - pogrążona w żalu po śmierci siostry. Zawiodło go wycucie czasu. Zaskoczył ją. Znalazł w tej myśli pocieszenie i postanowił, gdy tylko się przejaśni, spróbować raz jeszcze.

Tymczasem Fernanda Ponderosa zlokalizowała sypialnię i zaległa w łóżku bez życia. Jej meble pozostawały na dworze - nie mogła ich teraz przytaszczyć, a rano być może ruszy w dalszą drogę. Wydawało się jej, że ma bardzo mało powodów, by tu pozostać.

Wiedziała, że raczej nie zaśnie i że noc będzie jej się dłużyć. Silvana nie żyje. Wciąż nie mogła w to uwierzyć. Chociaż ich rywalizacja sięgała jeszcze czasów przed narodzinami, kiedy jako dwa płody walczyły o przeżycie, łączyła je więź, która nigdy nie została zerwana.

W swym umęczonym umyśle ujrzała barwne sceny z przeszłości; przyjęcia urodzinowe, jazdę na rowerze, grę w piłkę; wypadki tak banalne, że nie miała teraz pojęcia, dlaczego jej się przytrafiały, dlaczego w ogóle je pamięta, wymieszane były z epizodami z tej okropnej podróży, echemi śpiewu wariata przed domem i cieniami w mrocznej sypialni, które uformowały się w złowrogi zjawy.

Doświadczyla dziwnego uczucia, że w pokoju nie jest już sama, sięgnęła więc do włącznika światła, by rozproszyć niepohamowane lęki. W nagłym blasku ujrzała Silvanę. Siedziała w nogach łóżka, przyglądając się jej. Fernanda Ponderosa wrzasnęła.

- Więc w końcu się tutaj pojawiłaś - wysyczała jej siostra. - Po co?

- Miałam... przeczucie... że... - jąkała się Fernanda.

- Ciągłe ufasz tym swoim dziwnym przeczuciom? - przerwała jej Silvana. - Ciągłe się błąkasz? Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Czego chcesz?

- Zakopać topór wojenny. Czy to źle? - serce Fernandy Ponderosa biło mocno. - Byłam na cmentarzu, próbowałam wszystko wyjaśnić. Nie słyszałaś mnie?

- Nie spędzam tam za dużo czasu. To miejsce przyprawia mnie o gęsią skórę. W każdym razie, daruj sobie wyjaśnienia. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. To, że nie żyję, nie znaczy jeszcze, że wszystko między nami się ułoży.

Z tymi słowy zniknęła, nie zostawiając nic poza wgłębieniem w narzucie w miejscu, gdzie siedziała.

- No coś ty, naprawdę nie możemy spróbować? - krzyknęła Fernanda Ponderosa, chociaż pokój był pusty i mówiła sama do siebie.

- Silvana?

- Gdzie jesteś?

- Czy możesz wrócić?

- Nie możemy porozmawiać?

Ale ostatnie słowo, jak zwykle, należało do jej siostry.

## Rozdział trzeci

Roztrzęsiona Fernanda Ponderosa prawie przez całą noc nie zmrużyła oka. Czy Silvana wróci? Minęło dużo czasu, zanim jej serce przestało mocno bić, a oddech się ustabilizował. Mówiła do swojej siostry rzeczy, które chciała jej zawsze powiedzieć. Spotkała się jednak tylko z ciszą i bezruchem. Każdy dźwięk w tym skrzypiącym starym domu kazał jej nadśłuchiwać z nadzieją.

W końcu, tuż przed świtem, ogarnęło ją znużenie. Nie pogrążyła się jednak w spokojnym śnie, którego rozpaczliwie potrzebowała. Dręczyły ją koszmary. Była bita przez kogoś, kogo nie widziała, i nie mogła się przed nim obronić. Walczyła, chcąc wreszcie się obudzić, ale nie potrafiła. Próbowała uciec, ale jakaś przemożna siła kazała jej pozostawać w miejscu.

W końcu obudziła się, czując nagłą ulgę, że był to jedynie senny koszmar. Lecz co z Si-  
lvaną - czy ona też była snem? Inaczej: czy naprawdę widziała w nocy ducha?

Kiedy tak leżała, usłyszała wewnętrzny głos, namawiający ją do pozostania tu, przynajmniej na jakiś czas. Zawsze słuchała tego głosu. Zawsze szła tam, dokąd prowadziły ją wizje i zawsze poddawała się wichrom, które wysyłały ją w nowe strony.

Chociaż bujała w obłokach, była też osobą praktyczną. Doszła do wniosku, że skoro już przyjechała w to miejsce, może spróbować pogodzić się z Silvana. Jeśli tego nie zrobi, będzie żałowała. Wiedziała również, że rodzinny interes potrzebuje jej pomocy. Podróżując, nabyła doświadczenia we wszelkich możliwych zawodach. Praca w masarni powinna być łatwiejsza niż wiele innych, które dotąd wykonywała. Miała nadzieję, że sprawi tym przyjemność Silvanie, a jej samej pozwoli zrozumieć życie siostry bliźniaczki. I wreszcie, dopóki nie poczuje, że musi jechać dalej, mogło być to tak samo dobre miejsce do zamieszkania, jak każde inne.

Wstała z łóżka, rozsunęła zasłony i otworzyła okiennice. Słońce świeciło już na niebie. Podziwiała piękno krajobrazu: rozciągającą się przed nią równinę, której bezkres wypełniały otoczone żywopłotami pola pszenicy, żyta i jęczmienia, a także rzędy mocnych winorośli, pola młodych słoneczników, kiwających głowami, i łąki pełne świeżej trawy.

Na podwórku wciąż stały jej meble. Teraz pokryte były kroplami rosy. Pająki zdążyły już rozpiąć pomiędzy nimi błyszczące niczym lampki na choince nici. Borsuk wprowadził się do łóżeczka dziecięcego, gołębie umościły sobie gniazdo we włosach bogini Afrodyty, wokół której leżały kawałki marmuru w kształcie łez.

Fernanda Ponderosa wypuściła pod figowcem rodzinę zółwi. Małpka siedziała w gałęziach, patrząc, jak taszczy posąg bogini na środek podwórka, a potem wnosi resztę rzeczy do domu. Jej eklektyczna kolekcja walczyła o miejsce z pokrytymi kurzem sprzętami siostry i szwagra. Fernanda nie zadawała sobie trudu, by swój dobytek ustawić w jakimś określonym porządku. Wiedziała, że nie zostanie tu na długo. Jakież więc miało to znaczenie?

Kiedy już wniosła wszystko do środka, wyszła na zewnątrz i ujrzała Marię Calendę, która mieszkała w jednym z budynków gospodarczych na drugim końcu gospodarstwa, niedaleko świniami. Starła się unikać domu, ponieważ uważała, że jest nawiedzony. Widok Perdity Castorini, dawno zmarłej matki Prima i Fidelia, sprawiał, że cała puchła i przed snem musiała smarować się magiczną miksturą. Duchy wywoływały różne symptomy, a przy obecnym stanie interesów nie mogła sobie pozwolić na reakcje alergiczne.

Kilka małych kozłatek tańczyło wokół Fernandy Ponderosy, kiedy ta przemierzała pole. Świnie patrzyły na nią smętnie, gdy mijała ich zagrody. Nawet najbardziej niesforne prosiaki nie hałasowały. Ich smutek spowodowany był śmiercią w rodzinie.

Kobieta szła w stronę budynków położonych w oddali. Widziała tam dwie lub trzy postacie. Kiedy podeszła bliżej, zrozumiała, że ludzi było tylko dwoje, Maria Calenda i mężczyzna. Pomiędzy nimi, na konstrukcji z drewna i sznurków, wisiała świńska tusza. Maria gromadziła do wiadra krew, lecącą z rozcięcia w piersi zwierzęcia. Na końcu nosa miała ogromny czyrak, który pulsował jak latarnia.

- Duchy chodzą po ziemi - obwieściła przybyłej, pokazując na wrzód swoim owłosionym paluchem. -Może być pani pewna, umarli są wśród nas.

Chyba nawet miała rację.

Na widok Fernandy Ponderosy mężczyzna zerwał się na równe nogi. Chłonał ją pożądlivym wzrokiem jak źródło krystalicznie czystej wody w upalny dzień.

Nie miał na sobie koszuli, jedynie nieprzemakalne spodnie i gumki. Jego potężny opalony tors umazany był krwią dopiero co ubitej świni. Był wysoki. Tak wysoki, że Fernanda musiała zadrzeć głowę, by spojrzeć w jego twarz. Nie był tęgi, lecz solidnie zbudowany, umięśniony i barczysty. Potem nie mogła sobie przypomnieć, co w nim spodobało jej się najbardziej. Może grube i gęste, połyskliwe czarne włosy, które wydawały się żywe, rozdzielały się i łączyły, poruszały się i falowały? A może raczej oczy? Były inne od oczu, które do tej pory widywała. Czarne jak węgielki. To były oczy zwierzęcia, dzikiego zwierza.

Czuła na sobie ich palące spojrzenie, ale była do tego przyzwyczajona. Podziwiał jej piersi, bujne kształty, wydatne usta.

- Podobno przybyłaś nam na ratunek? - zapytał cicho. Wszystkie znaki na niebie i ziemi mówiły, że to Primo Castorini, szwagier Silvany. Mówił spokojnie, trudno było poznać - z szacunkiem czy z sarkazmem. Głos miał równie niski jak oczy czarne.

- Czy to nie miło? - dodał pod adresem Marii Calendy, która zarechotała, spoglądając to na niego, to na nią, i wyraźnie upajając się tą chwilą.

Fernanda Ponderosa patrzyła, jak ociera wierzchem dłoni pot z czoła, pozostawiając smugę krwi, która sprawiała, że wyglądał jeszcze groźniej.

- Zostanę do powrotu twojego brata - powiedziała cicho.

Nigdy nie mógłby sobie wyobrazić jej głosu ani nigdy nie uwierzyłby, że jest realny. Na zawsze zapamiętał dreszcz, który przeszył go, kiedy usłyszał ją po raz pierwszy. Z trudem opowiadał podniecenie.

- Mój brat nie wróci - udało mu się odpowiedzieć.



Ona jednak wiedziała, że wróci. Mężczyźni nagle zaschło w gardle. Fernanda poczuła krople gorącej wody na twarzy, kiedy Maria Calenda wylała parującą zawartość wiadra na świnie, po czym zaczęła zdrapywać z niej szczecinę.

- Przyjdę po południu - powiedziała - do pomocy.

- Będę rozczarowany, jeśli nie przyjdiesz - odparł wolno, podchodząc do niej. Mówił teraz prawie szeptem. Maria Calenda przerwała swoje skrobanie i nadstawiła ucha.

Fernanda Ponderosa odwróciła się i odeszła. Kołysanie jej bioder przypominało falę pełzającą po plaży. Mężczyzna, który nigdy nie widział morza, chciał się położyć i w niej zanurzyć. Patrzył, jak kobieta idzie przez pole. W końcu zniknęła mu z oczu. Kiedy wrócił do swojej pracy, wyraz jego twarzy sprawił, że Maria Calenda zarechotała raz jeszcze. Siostra Silvany będzie musiała na niego uważać.

## Rozdział czwarty

Był piękny dzień, pierwszy maja, zbyt ciepły jak na tę porę roku. W nocy niepostrzeżenie nadciągnęło lato, nikt jednak nie miał pojęcia, co pogoda trzyma w zapasie na później.

Kwiaty w żywopłotach zakwitły. Powietrze przepelnione było ich zapachem. Tłuste pszczoły zbierały pyłek kwiatowy, cykady cykały, muchy bzyczały. Sancio, tępy muł rodziny Castorini, stał na łące i głośno ryczał. Pomyśleć tylko, że kiedyś rozważałam dopuszczenie go do swojego serca! Muczenie krów było radosne, jak chór w kościele. Kury gdakały, a kozy i owce beczały. Ziemia tętniła życiem, a na górze, na błękitnym niebie, które wyglądało jak świeżo umyte, jaskółki kreśliły łuki i kółka.

Fernanda Ponderosa pojechała do miasteczka, gdzie ulice pełne były ludzi dyskutujących na temat dziwnego cudownego śpiewu, który dało się słyszeć dzisiejszej nocy.

Gerberto Nicoletto domagał się od ministerstwa rolnictwa odszkodowania z powodu swoich melonów: wyrosły przez noc, przybierając monstrualne rozmiary i zawstydzające kształty.

Filiberto Carofalo skarżył się, że jego kozy zaczęły dawać zielone mleko.

Amelberga Fidotti oświadczyła, że z fontanny tryskać zaczął olej z oliwek.

Wczesnym rankiem delegacja mieszkańców miasteczka powlokła się z mozołem na jedną z gór, by zasięgnąć opinii Nedda, nie doczekali się jednak pocieszenia, pustelnik bowiem zapadł w głęboki trans i nie odpowiadał na żadne pytania. Chociaż mieszkańcy czekali cierpli-

wie, by zaczął wreszcie mówić, podstawiając mu pod nos dary w postaci mięsa, jajek, chleba i wełnianych skarpet, zachował milczenie.

Po kilku godzinach wnikliwego obserwowania brodatego mędrca odeszli więc jak nie-pyszni, nie będąc ani odrobinę mądrzejsi niż przedtem.

Po tym rozczarującym doświadczeniu udali się do Speranzy Patti, która spośród wszystkich w miasteczku miała najwięcej wspólnego z nauką. Przejrzała kilkanaście książek w bibliotece i nie znalazła wyjaśnienia. To jednak nie powstrzymało jej przed wymyśleniem kilku.

Sebastiano Monfregola ustawił stół i strzygł włosy na ulicy, tak jak to zwykł robić w święta. Kiedy Fernanda Ponderosa przeszła obok niego, był tak uderzony podobieństwem do jej nieboszczki siostry, że omal nie uciął brzytwą ucha Francowi Laudato.

Fernanda wiedziała, że ten magiczny śpiew nie był niczym więcej, jak szaloną serenadą wioskowego głupka, powstrzymywała się jednak od komentarza.

Zanim dotarła do rzeźnika, musiała przedrzeć się przez tłum czekający w kolejce przed światowej sławy piekarnią Bordina. Tego dnia interesy szły świetnie dzięki karnawałowej atmosferze, jaka opanowała miasteczko. Oprócz zwykłego chleba i ciast, Melchiore Bordino, syn właściciela, który wśród cukierników był mistrzem nad mistrzami, uczcił ten dzień marcepanowymi aniołkami, których gardziołka pełne były złotych kryształków cukru.

Luigi Bordino, ojciec Melchiore, odziedziczył firmę po ojcu, Luigim Bordino seniorze, który z kolei przejął ją po swoim ojcu, Manfredim. Nikt nie pamiętał czasów, gdy w miasteczku nie było piekarni Bordina.

Chleb stanowił dla Luigiego całe życie. Zapach świeżych bochenków wciąż unosił się wokół niego.

Leżąc w łóżku, myślał o chlebie. Książki, które czytał, dotyczyły chleba. Jedyne programy, jakie oglądał w telewizji, traktowały o chlebie. Chleb stanowił jego ulubione pożywienie. Nie lubił niczego bardziej od pajdy swojego chleba, bez niczego, bez masła, sera czy dżemu. W takiej postaci był dla niego wystarczająco dobry.

Chleb Bordina cieszył się ogromną popularnością. Wypieki piekarni, znajdującej się na drugim końcu miasteczka, były tańsze od chleba Bordina, jednak odwiedzali ją tylko skąpcy. Ci, którzy naprawdę kochali pieczywo, stali w kolejce przed piekarnią Luigiego. Tak było i tego ranka, kiedy niebiański zapach unosił się wokół sklepu.

Lecz, jak to mówią, nie samym chlebem człowiek żyje. Wiele lat minęło, odkąd Gloria-na, żona Luigiego, która sama wywodziła się z piekarskiego rodu z Gubbio, na północy, została zabrana do wielkiego pieca w niebie. Wdowiec długo żywił nadzieję, że znajdzie nową miłość, ale obiekt jego uczuć, moja pani, Concetta Crocetta, pozostawała głucha na jego awanse.

Luigi wiele razy zagniatał dla niej specjalne ciasto, z miłością, jako tajemnym składnikiem, i ze słodkimi dodatkami, takimi jak figi, granaty, rodzynki, anżeliki, wiśnie albo, w sezonie, brzoskwinie, a nawet płatki róży. Swoim wypiekiem nadawał najwymyślniejsze kształty: wianuszków, bukietów kwiatów, serc, owoców, koszyczków. Jego pomysłowość zdawała się nie mieć końca. A potem, z najdelikatniejszą ostrożnością, zawijał je w bibułki, wkładał do pudełek i dostarczał osobiście do naszego domu z biletem wizytowym, na którym pisał pełne szacunku słowa.

Podziękowania kreślone ręką Concetty Crocetty, które umieszczał pieczołowicie pod poduszką w sypialni, nie dawały mu jednak najmniejszych widoków na przyszłość. Moja pani lubiła jego bochenki, lecz magiczny składnik, którego do nich dodawał, miłość, nigdy nie urósł w jej sercu, w każdym razie na pewno nie do niego. Kiedy jadła ten chleb, zdawała się jeszcze bardziej kochać doktora Croce.

Luigi mieszkał z synem Melchiore, cukiernikiem, i jego żoną Susanną. W głębi serca piekarz nie mógł zrozumieć, dlaczego Melchiore wybrał na żonę właśnie tę kobietę. To prawda, nie jej wina, że chorowała na celiakię, nie doceniając tym samym roli chleba w życiu człowieka. Ale jego synowa w ogóle nie była grzeczną dziewczynką. Prawdę mówiąc - miała diabła za skórą. Była najchudsza kobietą w całym regionie, a jej język był tak samo ostry jak rysy. Mówiła często o postępie, o tym, że trzeba iść z duchem czasu, i nigdy nie przestawała słać zalet pieców elektrycznych i nowoczesnych urządzeń, mających zmechanizować proces zagniatania, który Luigi kochał nad życie. Niestety, jego syn dla świętego spokoju zaczął wspierać żonę.

Susannie spędzała sen z powiek myśl, że jej teść może powtórnie się ożenić i z niepokojem podchodziła do jego zainteresowania Concettą Crocettą. Nie wahała się przed rzuceniem przekleństwa na ten związek i niewykluczone, że właśnie to powstrzymało moją panią przed bardziej życzliwą reakcją na umizgi piekarza.

I tak samotny Luigi zaczynał czuć się nieswojo we własnym sklepie, lękając się dodatkowo o przyszłość. Dlatego też, a może przez samotność i strach, pracował ciężiej niż zwykle i robił coraz więcej coraz lepszego chleba.

## Rozdział piąty

Obok piekarni Bordina znajdowała się Szczęśliwa Świnka, masarnia i sklep, które od pokoleń należały do rodziny Castorini. Ponad ich frontonem od niepamiętnych czasów wisiała olbrzymia, uśmiechająca się od ucha do ucha pozłacana świnka.

Pod szyldem na wystawie leżały produkty mięsne, które można było kupić w sklepie. Różowe kiełbasy, począwszy od malutkich, nie większych od oliwek, a skończywszy na długich na stopę. Były wśród nich: *ciaccatore*, *cacciatorini*, *cotechini*, *luganige*, *musetti* i *mortadelle*. Wędzone szynki, a obok - szynki gotowane, błyszczące srebrne tace pełne krojonego mięsa, nerek, kotletów, flaków, mózdzku, boczku, serc, wątróbek i języków, a także całe świńskie łby z jabłkami w ryjach. Między wieprzowiną stały słoiczki smalcu, musztardy, marynowanych warzyw oraz butelki oleju i octu.

Fernanda Ponderosa weszła do sklepu, zostawiając za sobą karnawał. W środku było chłodno i cicho. Białe marmurowe powierzchnie błyszcząły, a powietrze wypełniał aromat mięsa.

Drzwi z tyłu wiodły do masarni, w której Primo Castorini przygotowywał tak ogromne ilości świeżego i wędzonego mięsa, że starczyłoby go do nakarmienia całej okolicy. Wszystko było robione według starych receptur, które znał tylko Primo i które trzymał w ścisłej tajemnicy. Kiedy ujrzał Fernandę Ponderosę, poczuł, że coś w środku niego się otworzyło. W ograniczonej przestrzeni masarni owionął go jej kuszący zapach. Popatrzył kobiecie głęboko w oczy.

Przeniosła wzrok na jego dłonie. Nie były takie, jakie spodziewała się ujrzeć. Gładkie i różowe, z naprawdę długimi palcami. Czują, że do niego nie pasują. To w ogóle nie były ręce rzeźnika, lecz dyrygenta, sztukmistrza albo księdza. Te dłonie robiły właśnie *cotechini*: wypełniały świńskie jelita mieszanką wieprzowej skóry, chudą wieprzowiną, tłuszczem, przyprawami i gotowanymi świńskimi uszami. Tylko to sobie wyobraziła, czy rzeczywiście zadrżały pod jej badawczym spojrzeniem?

Primo Castorini czuł, jak jego suche zwykle ręce pokrywają się potem. Nadmiar wilgoci mógł zniszczyć smak i konsystencję kiełbas. Musiał się opanować, odzyskać panowanie nad sobą. Musiał się skupić na robocie. Pomyśli o Fernandzie później. Wtedy gdy kobieta będzie daleko i pożądanie przygaśnie. To jednak nie było takie proste. Od rana nie potrafił wyrzucić jej obrazu ze swojego umysłu. Czy naprawdę poznał ją zaledwie kilka godzin temu? Niemożliwe. W tak krótkim czasie zdążyła już zawładnąć jego życiem. Stać się jego obsesją. Prze-

śladowała go. Przejęła nad nim władzę. Teraz przejmie też władzę nad jego firmą. Dlaczego nie dał jej większego kombinezonu? Wcisnęła się w ten, który zwykle nosiła Silvana. Nie mógł się skoncentrować, mając przed sobą te jej wielkie balony. Niebezpieczne oczy Fernandy błyszcząły. Jeśli nie skupi się na kielbasach, wyjdą niedobre, a wtedy interesy podupadną do reszty. Była szansa, że jakoś uda im się przetrwać, pod warunkiem jednak, że zaraz weźmie się w garść. Święta Matko, jej zapach mógł pozbawić mężczyznę rozumu! Wyobraził sobie, że ma w środku bryłę lodu. Zacisnął zęby. Zaczął w myśli modlić się o to, by udało mu się zachować spokój.

Powietrze w pomieszczeniu było chłodne i suche. Panowała w nim cisza. Było prawie hermetycznie zamknięte. Nie mieli potrzeby mówienia. Niemądrze byłoby przerywać milczenie. To wszystko przypominało pantomimę lub niemy film.

Całe popołudnie zajmowali się tajemnymi miksturami i recepturami. Jego rywale z Zakładów Mięśnych Pucillego zrobiliby wszystko, aby je zdobyć. Pracowali z precyzją chirurgów, nie mówiąc nic; niemal od razu osiągnęli pełną synchronizację ruchów i zrozumienie, które zwykle spotyka się jedynie pośród ludzi, którzy są bliskimi współpracownikami od wielu lat.

Czasami ich palce przypadkowo się spotykały. W takich wypadkach Primo Castorini wzdrygał się, jakby został przypalony, a kiedy to robił, Fernanda Ponderosa koniuszkiem języka zwilżała usta.

Początkowo Primo nie pokładał zbyt wielkich nadziei w umiejętnościach zawodowych Fernandy. Uznał ją za jedną z tych kobiet, które dobrze potrafią tylko wyglądać. Ale zaskoczyła go, a nawet, mimo że wzdrygał się przed przyznaniem tego, był pod wrażeniem. Pracowała starannie i niezmiernie i była prawie tak samo dobra, jak on. Chwilami czuł się nawet gorszy. Obracała mięsem z taką wprawą, że robiło mu się słabo. To, jak formowała kielbasy, było aktem poezji. Zaczynało mu ciemnieć przed oczami. Wypił szklanekę zimnej wody i wolno wytarł usta wierzchem dłoni.

Mimo ciągłego rumienienia się i palpacji, które na próżno starał się ukrywać, tego cichego, zmysłowego popołudnia zrobili niewiarygodnie dużo. Wspólnie uporali się z zamówieniami, opóźnionymi już od tygodni. Primo sam nie dawał sobie z nimi rady. Nie najmował pomocników, ponieważ nikomu nie ufał, a na dodatek paranoicznie obawiał się szpiegów, którzy mogliby mu wykraść receptury. Fernanda okazała się ziszczeniem marzeń o pracowniku doskonałym. Ponieważ należała do rodziny, ufał jej. Wiedział jednakże, że nie może jej zaufać w kwestii swojego serca.

Później przystąpili do pracy nad szynkami. Tu również, mimo usilnych starań Prima Castoriniego, było wiele zaległości.

Przez trzydzieści dni tysiąc nowych szynek trzeba było nacierać solanką, chroniącą je, gdy wisiały przez rok, dojrzewając. Primo masował mięso jak kochankę. Czynił to z takim namaszczeniem, że Fernanda z trudem powstrzymywała śmiech. Mogła wcierać sól w szynkę, ale nie musiała się w niej od razu zakochiwać.

Kiedy skończyła się sól, rzeźnik przeszedł obok, by sięgnąć po następny worek. Mimo że starał się ze wszystkich sił unikać dotykania Fernandy, jej ciało bowiem przyciągało go jak magnes, powietrze między nimi nagle się ożywiło. Mimo panującego w masarni chłodu - w krótkiej chwili stało się gorące i napięte. Ciało swędziało go, jednak nie mógł znaleźć miejsca, w które powinien się podrapać.

W końcu uporali się ze wszystkim, co mieli do zrobienia tego dnia. Szynki zostały posolone i odłożone. Kielbasy - zawinięte w papier pergaminowy i zapakowane do pudeł. Zimne pomieszczenie zostało umyte i lśniło w świetle jarzeniówki. Primo nie mógł wymyślić już żadnego pretekstu, by zatrzymać Fernandę. Chociaż nie chciał się z nią rozstawać, wiedział, że jeśli nie pozbędzie się jej teraz, gotów jest naprawdę wybuchnąć.

Zdjęła kombinezon i potrząsnęła włosami. Nie spuszczał z niej wzroku. Po prostu nie mógł oderwać od niej oczu. Wychodziła już ze sklepu, kiedy nagle usłyszał swój głos. Był cichy, ledwo słyszalny.

- Dlaczego Silvana nie wspominała, że ma siostrę?

- Za dużo pytań - odparła.

- Tylko jedno - uściślił.

Ale ona już wyszła i pochłonęła ją ciemność na dworze.

Podniósł zrzucony kombinezon i zanurzył w nim twarz. Nie miał siły się ruszać.

Przechodząc obok bajkowej wystawy piekarni Bordina, rozjaśnionej aniołkami i zwierzątkami z marcepanu, Fernanda nie zauważyła Susanny Bordino, mierzającej ją wściekłym spojrzeniem. Synowej piekarza całe popołudnie nie dawały spokoju myśli o nieznanym, która pojawiła się wśród nich. Susanna, dobrze wiedziała, że ta kobieta oznaczała kłopoty. Dlaczego ludzie nie zostają tam, gdzie się urodzili? - zastanawiała się. Była dumna z tego, że urodziła się, mieszka, i z całą pewnością umrze w tym regionie. Nie uznawała nieznanym za jakąś piękność; jak na jej gust była za bardzo przy kości. Wiedziała jednak, że są tacy - a pośród nich jej napalony teść Luigi - którzy mogli dać się jej złapać w sidła. Susanna знаła Luigiego jak zły

szeląg. Nieznajoma myliła się jednak, sądząc, że zdoła go omotać i sprzątnąć jej sprzed nosa piekarnię. Nigdy! Po Susanny trupie. Tego jednego Fernanda Ponderosa może być pewna.

Przy oknie nad sklepem, z nosem przyciśniętym do szyby, stał Luigi. On również przyglądał się Fernandzie. Od tej chwili nie poświęcił już mojej pani ani jednej myśli. Zbiegł do swoich pieców, które dopiero co zamknął na noc, i zaczął zagniatać ciasto. Włożył w nie całą namiętność, która nagle go ogarnęła. Nigdy nie kochał Gloriany. Teraz dopiero stało się to dla niego jasne. Klapki spadły mu z oczu. Pierwsze sześćdziesiąt lat życia było jednym wielkim oszustwem. Dopiero teraz po raz pierwszy naprawdę kochał, a serce śpiewało mu w przywiedłej już piersi. Spoglądająca na to z nieba Gloriana roniła gorzkie łzy; pomyśleć tylko, że poświęciła temu mężczyźnie najlepsze lata swojego życia!

## Rozdział szósty

Arcadio Carnabuci miał rację: Fernanda Ponderosa zrozumiała swój błąd i chciała go przeprosić za nieoczekiwaną kąpiel.

Rozgrzany jak piec i czerwony jak burak hodowca oliwek otworzył drzwi sypialni i wpuścił Fernandę, która z kolei była biała jak kreda, choć wyglądała na zdecydowaną. Nie zawracali sobie głowy pogawędką. Czyż słowa były teraz potrzebne? Przyszła do niego. Nic poza tym się nie liczyło.

Rozejrzała się po pokoju. Dzięki Bogu miał przecucie i zmienił pościel. Wspaniałe nowe poszwy odmieniły wszystko. Miał nadzieję, że zrobiły na niej wrażenie.

Patrzyli sobie w oczy. Arcadio nie miał pewności, co w nich widzi. Miłość? Pożądanie? Rozbawienie? I co ona widziała w jego oczach? Czuł się nagi, chociaż był kompletnie ubrany. Nie odrywając od niego wzroku, Fernanda zaczęła rozpinać guziczki swojej bluzki. Usta mężczyzny stały się suche. Nie miał zbyt dużo doświadczenia w tych sprawach. Prawdę mówiąc, w ogóle nie miał doświadczenia. W każdym razie - nie z innymi ludźmi. Oczywiście nieobce mu były prace ręczne, ale to nie to samo. Wpadł w panikę. Nie wie, co robić. I, co gorsza, ona nie wie, że on nie wie. I może go za to znienawidzić. Czy właśnie teraz, gdy był tak bliski spełnienia marzeń, miał wziąć nogi za pas? Co by sobie o nim pomyślała? Co było gorsze: wystraszyć ją brakiem doświadczenia, czy też sprawić, że będzie się czuła odtrącona? Tak czy owak - był na skraju przepaści.

Po chwili jednak stało się coś nieprawdopodobnego. Fernanda Ponderosa zrzuciła ubranie. A potem podeszła do niego. Blisko. Bliżej niż ktokolwiek do niego dotąd podchodził, z wyjątkiem matki i prawdopodobnie innych członków rodziny, wtedy, kiedy był jeszcze dzieckiem: być może ojca, prawdopodobnie babci. Tak blisko, że właściwie nie widział już szczegółów jej wyglądu, a jedynie zamazane kształty. Zrozumiał, że nie ma na nosie okularów. Gdzie się podziały? Nie przypominał sobie, by je zdejmował. Ale to i tak nie miało teraz znaczenia. Nic nie miało znaczenia, z wyjątkiem tej chwili.

Poczuł dotyk jej ust. Szepczących. Ciepłych, miękkich, mięsistych. Poczuł koniuszek jej nosa, muskający delikatnie jego nos. Usta upragnionej kobiety poruszały się wkoło, nie odrywając się od jego ciała. Ssały jego dolną wargę. Czegoś podobnego jeszcze nigdy nie doświadczył. Nie wiedział nawet, czy w takiej chwili wypada oddychać. Czy to w ogóle jest możliwe. Potem jednak przestał myśleć i odpowiedział na pieszczotę ust Fernandy. Całował się. Właśnie się całował. I wyglądało na to, że całkiem dobrze mu to idzie.

Objęli się. Staął na palcach, starając się być jak najwyższy. Jeśli nawet musiała się zgarbić, to dobrze to ukrywała. Przyciągnął ją bliżej. Jej zapach obezwładnił go. Kaskady włosów opadły na jego ramiona. Jego nagie ramiona. On też, nie wiadomo kiedy, pozbył się ubrania. Nie było w nim najmniejszej niezdarności czy skrepowania. Obyło się bez zaplątywania się w nogawki spodni. I bez walki ze sznurówkami, które nie chciały się rozwiązać. I ze śmierdzącymi skarpetami. Jak tego dokonał? Jak, na miłość boską, mu się to udało? Czuł ją przy sobie. Wokół siebie. Otaczającą go swoją miękkością. Obejmowała go. To cudowne ciało napierało na niego. Czuł delikatny nacisk jej piersi. Nieskończenie długie nogi Fernandy przesuwaly się w górę i w dół. I cały czas ich usta starały się dać wyraz pragnieniu, które było tak silne, że nic nie mogło go powstrzymać. Sunęła rękami po jego ciele. Żałował, że nie jest większy. Naciskała swoimi dużymi palcami na jego twarz, szyję, pierś, pośladki, uda. Wokół roztaczała się zupełnie mu nieznaną woń. Najbardziej odurzający aromat, jaki tylko można sobie wyobrazić. Zapach dwóch ciał porozumiewających się z sobą.

Hodowca oliwek zaczął wyc, jakby był wilkiem mieszkającym wysoko w górach. Nie wiedział, jak zniesie tę rozkosz, tak intensywną, że aż bolesną.

Na podwórku ujadał jego pies, Max, który zląkł się, że wilki zstąpiły na równiny, by porwać kurczaki jego pana. Nieszczęsna psina była zrozpaczona.



- Nie przerywaj, błagam! - krzyknął Arcadio Carnabuci głosem napiętym od tłumionej namiętności. Głosem dręczzonego mężczyzny. Głosem zupełnie innym od tego, którym zwykle się posługiwał.

Ale Fernanda Ponderosa go nie posłuchała. Nie mógł tego zrozumieć. Dopiero w tej zimnej, bolesnej chwili pomiędzy snem a dniem pojął w końcu, że to wszystko mu się śniło. Max wciąż ujadał. Jego pan natomiast rozplakał się z gniewu i rozczarowania.

Kiedy zapalił lampkę i spojrział na zegar, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Po chwili dotarło do niego, że spał ponad dwadzieścia cztery godziny. Całą noc i cały dzień. A teraz znów była noc. To następstwo pieśni, która wyczerpała go do reszty. Nagle wpadł w panikę. Czyżby przegapił pogrzeb Maddaloniego, na którym obiecał był śpiewać? Jeśli faktycznie tak się stało, już niedługo spodziewać się może własnego pogrzebu. Potem jednak przypomniał sobie, że pochówek ma się odbyć dopiero nazajutrz; nie mógł więc go przegapić. Dzięki Bogu. Ale i tak stracił cały dzień. Został okradziony z dnia, który mógł spędzić z Nią. Dnia, którego nigdy już nie odzyska. Co zaszło w tym czasie? Poczul ukłucie zazdrości. Wszystko mogło się zdarzyć.

Gdyby tylko wyjrzał na dwór, zobaczyłby mnie, wciąż czekającą na niego...

## Rozdział siódmy

Nazajutrz ścieżki mojej pani i jej ukochanego doktora przecięły się ponownie. Mogli mówić o nadzwyczajnym szczęściu: w ciągu dwóch dni spotkali się po raz drugi. Jednak okoliczności owego spotkania nie nastrajały zbyt optymistycznie. Doszło bowiem do niego na pogrzebie miejscowego przedsiębiorcy pogrzebowego, don Dina Maddaloniego z Domu Pogrzebowego Maddaloni. Jego śmierć wywołała poruszenie, głównie dlatego, że nikt nie spodziewał się, iż właściciel domu pogrzebowego sam w końcu może umrzeć. To było tak, jakby jego profesja czyniła z niego wyjątek. Ten rotarianin i zapalony brydżysta był znaczącą postacią w miasteczku i oczywiście ważnym członkiem lokalnego przyczółka mafii.

Concetta Crocetta leczyła go na wrzody żołądka, które co jakiś czas dawały się mu we znaki, przerywając serię suto zakrapianych bankietów, z których słynął. Oprócz tego opatrywała jego prawą stopę.

Niemniej jednak to nie wrzody ani podagra spowodowały jego nagły zgon. Tym, co go wykończyło, była kiełbasa. Tak przynajmniej głosiły plotki. Chodziły słuchy, że to kiełbasy ze

Szczęśliwej Świnki, te same, które z taką pieczołowitością przygotowywał Primo Castorini, odpowiadały za zejście don Dina z tego padołu łąz.

Oczywiście w tych pogłoskach nie było ani ziarnka prawdy. To współpracownicy don Dina odpowiadali za jego śmierć. Ceny mięsa w regionie były wysokie, a kontrolowane przez mafię Zakłady Mięsne Pucilla na peryferiach miasta zniszczyły konkurencję. Szczęśliwa Świn-ka była ostatnią rodzinną firmą w branży.

Pogrzeb, zgodnie z przewidywaniami, został dopracowany do najdrobniejszego szczegółu. Smutek wdowy Maddaloni po stracie męża był zagłuszony przez żal, że nie może on widzieć tak wspaniałego pożegnania. Trumnę niosło sześciu synów don Dina: Pomilio, Prisco, Pirro, Malco, Ivano i Gaddo. Szli z precyzją żołnierzy na placu apelowym. Ich ruchy były zgrane tak idealnie, że wyglądali jak mechaniczne lalki. Aż trzech księży odprawiało nabożeństwo; zapewne z większą pompą nie chowano by nawet biskupa.

Szepty, że Maddaloni trochę przesadzili i że cały ten pogrzeb zakrawa na bluźnierstwo, szybko zostały uciszone.

Ci, którzy nie płakali z żalu, płakali z powodu podrażnienia spojówek od dymu z kadzi-deł i niezliczonych woskowych świec, które okopciły sufit odmalowany specjalnie na tę okazję.

Mimo niechęci i wrodzonej nieśmiałości Arcadio Carnabuci zgodził się zaśpiewać *Ave Maria*, poproszony o to z powodu wrażenia, jakie zrobił na don Dinie w Niedzielę Palmową. Na wypadek, gdyby zamierzał w ostatniej chwili się rozmyślić, pod jego chatę zajechał samochód i hodowca oliwek odbył drogę do miasta, siedząc pomiędzy kuzynami don Dina, Selmem i Narnem. Został nawet ubrany w albę, która przydała mu wyglądu przerośniętego członka chópu chłopięcego chóru.

Arcadio przez całe nabożeństwo cierpiał katusze. Nie miało to jednak nic wspólnego z żalem za zmarłym. Myślał tylko o tym, by zobaczyć znów Fernandę Ponderosę, wyjaśnić wszelkie nieporozumienia i, przy odrobinie szczęścia, złożyć jej propozycję małżeństwa; zamiast tego musiał śpiewać na jakimś pogrzebie. Oczywiście nie mógł odmówić. Wiedział doskonale, że gdyby się na to powążył, rodowy gaj oliwny rodziny Carnabuci zostałby puszczone z dymem. Zżymał się jednak na niesprawiedliwość losu. I modlił się, by uroczystości zakończyły się jak najszybciej.

W samym środku nabożeństwa doktor Croce, przez mgiełkę kadzidła, dostrzegł charakterystyczną postać mojej pani. Siedziała w ławce kilka rzędów za nim. O dziwo, tym razem pojawił się o czasie. Wymienili ukłony, a kiedy uroczystość po trzech godzinach mów pogrzebo-

wych, przeplatanych hymnami, czytaniem i mszą, dobiegła końca, spotkali się w nawie głównej.

Zaczerwieniem z emocji zaczęli mówić jednocześnie, chcąc przełamać lody.

- Ładne nabożeństwo - zauważyła ona.

- Bardzo wystawne - przyznał on.

Ich słowa zderzyły się z sobą w gęstym powietrzu i splątały razem, sprawiając, że oboje wybuchnęli stłumionym śmiechem, po czym rozejrzeli się ukradkiem, bojąc się, że ktoś mógł ich usłyszeć.

Popatrzyli sobie w oczy. Obojgu wydawało się, że trwało to wieczność, podczas gdy w rzeczywistości - nie dłużej niż kilka sekund.

- Przesuń się - powiedział nagle ktoś z tyłu. Doktor dostał kuksańca w plecy.

- Blokujesz przejście.

- Nie pchaj się.

- Troszkę cierpliwości, dobrze?

- Nie mogę oddychać w tym ścisku.

- Idźcie dalej.

Zostali rozdzieleni przez tłum żałobników. Okazja do rozmowy została stracona. Oglądali się za siebie niesieni przez spiętrzoną falę ludzi. Żadne nie miało szans walczyć z prądem. Czy zmysłowe usta lekarza ułożyły się w jakieś słowo przeznaczone specjalnie dla pielęgniarki? Wyciągała szyję, ale było zbyt dużo dymu, by mogła to jednoznacznie odczytać. Czy coś do niego powiedziała? Cały czas czuł na sobie spojrzenie jej oczu - brązowych, ciepłych, łagodnych. Widział je nawet wtedy, gdy zamknął powieki.

Na dworze każde z nich dało się wciągnąć w pogawędki z wścibskimi mieszkańcami miasteczka. Policarpo Pinto miał potrzebę rozmowy o swoich haluksach. Filiberto Carofalo domagał się lekarstwa na brodawki, które rujnowały mu życie. Fedra Brini zademonstrowała wszystkim swój cellulit.

Stracili się z oczu i chociaż szukali się w coraz większym tłoku, już się w nim nie znaleźli.

## Rozdział ósmy

Gdy tylko Arcadiemu Carnabuciemu udało się przecisnąć przez tłum żałobników i zrzucić kostium chórzysty, pospieszył do Szczęśliwej Świnki. Doszły go słuchy, że przedmiot jego marzeń zaczął tam właśnie pracę. Znał reputację rzeźnika i w ogóle nie przypadło mu to do gustu. Przy najbliższej sposobności poprosi ją o zrezygnowanie z tego zajęcia.

Fernanda Ponderosa była sama w sklepie, ponieważ Primo Castorini miał do załatwienia pilne interesy. Właśnie otrzymał pocztą łeb swojej świni z ewidentną pogroźką: „Don Dino zostanie pomszczony”. Oczywiście rzeźnik wiedział, co to znaczy zdrzeć z mafią, ale nie przstraszyło go to. Poszedł do Zakładów Mięsnych Pucilla, by porozmawiać o kiełbasach. Był niewinny i każdy, kto twierdził co innego, będzie miał z nim do czynienia.

Kiedy dzwony kościelne obwieściły koniec nabożeństwa, Fernanda Ponderosa zobaczyła wchodzącego do sklepu mężczyznę. Tego samego, który śpiewał serenadę pod jej oknem. Wiedziała, że to on. Od razu poznała go po rękach. Wielkie jak łopaty, niezdarne i zupełnie niepasujące do reszty wątego ciała. Popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek. Niech nie waży się znowu śpiewać, bo wyrzuci go na ulicę. Po co w ogóle tu przylazł?

- Signor? - zapytała zimnym głosem, by go zniechęcić.

„Boże, ona jest cudowna” - pomyślał Arcadio. Miała na sobie opiętą czerwoną suknię, która podkreślała jej obfite kształty i doprowadzała go do palpacji. Natychmiast zapomniał mowę, którą powtarzał w myślach, odkąd się obudził, a w mniej konkretnej formie od dwudziestu lat. Teraz, w świetle dnia, nareszcie widział swoją ukochaną w pełnej krasie. Tamtej nocy, gdy stała na balkonie, w nikłym świetle lampy, zyskał jedynie ogólne wrażenie, teraz dopiero mógł w pełni docenić jej olśniewające piękno. Nawet jej zęby były wspaniałe. Wielkie. Jak u konia. Poczł fizyczny ból, widząc to ucieleśnienie swoich pragnień w otoczeniu udźców wieprzowych i szynek.

Zachwiał się. Nogi się pod nim ugięły. Wydawały się niezdolne go utrzymać. Nagle zrobiło mu się gorąco. Wiedział, że czerwienieje. Ogarnęła go panika. Jak zacząć uzewnętrzniać się tutaj, w sklepie rzeźniczym? Miał za dużo do wyznania. Obezwładniła go skala, siła uczuć. Uczuć, które go przepelniały.

Czy powinien znów zacząć śpiewać? Zawsze wyrażał siebie lepiej w śpiewie niż w mowie. Ta chwila ciągnęła się jak guma. Oboje byli coraz bardziej zakłopotani. Fernanda Ponderosa gromiła go spojrzeniem. Dlaczego nic nie mówiła?

- Tak? - zapytała w końcu.

Poruszył ustami, ale nie chciało z nich wyjść żadne słowo. By spróbować raz jeszcze i połączyć właściwe nerwy, otworzył i zamknął usta kilka razy, jak ryba.

- Szynek - zdołał wybąkać, a krtań zapiekła go od wysiłku, jakiego wymagało wypowiedzenie tego jednego słowa.

Kryzys został zażegnany. Napięcie odrobinę zelżało, nie na tyle jednak, by poczuli się w pełni swobodnie.

- Którą? - nadeszła oschła odpowiedź.

Hodowca oliwek był w stanie tylko pokazać jednym ze swoich wielkich, fioletowawych paluchów na szynkę wiszącą zaraz nad głową Fernandy. Łapa, wielka i owłosiona łapa, zawisła w powietrzu przed jej oczami. Była ohydna. Jej obrzydzenie nie mogło być bardziej wyraźne, lecz oczywiście Arcadio tego nie dostrzegał. Miał swój scenariusz i musiał się go trzymać. W jej oczach, pełnych jadu, widział tylko miłość. Raczkującą dopiero, ale jednak miłość. To musiała być ona.

Fernanda zdjęła szynkę z haka. Patrzył na nią zafascynowany. Czują na sobie jego wzrok. Zalał się potem. Ona się zaczerwieniła. On się zarumienił. Zawinęła szynkę w brązowy papier i pchnęła ją po ladzie w jego stronę.

- Pięćdziesiąt - powiedziała.

Wyjął zmięty banknot z kieszeni. Popatrzyła na pieniądze, jakby mogła się od nich zarażić śmiertelną chorobą. Koniuszkami palca wskazującego i kciuka wyjęła je ostrożnie z jego dłoni, wrzuciła do kasy i zatrasnęła szufladkę. Potem zakrzętnęła się za ladą, przestawiając słoiczki i słoiki, i ścierając już i tak błyszczący blat. Arcadio Carnabuci starał się wymyślić jakiś pretekst, który pozwoliłby mu pozostać w sklepie, ale w końcu zrozumiał aluzję i, zabrawszy szynkę, wymruczał „do widzenia”, po czym wyszedł.

Fernanda Ponderosa nie odpowiedziała. Wzięła butelkę ze środkiem dezynfekującym i wylała go na tę część kontuaru, której dotykał.

W środku był dwadzieścia trzy minuty. W tym czasie zamienili z sobą dokładnie siedem słów. Na ulicy o mało nie popełnił samobójstwa.

Zaczął walić głową o ścianę piekarni Bordina na oczach przechodzących tłumów.

Policarpo Pinto i Sebastiano Monfregola wymienili spojrzenia i pokręcili głowami.

- Oto, co samotne życie robi z mężczyzny - orzekł pierwszy przemądrzałym tonem.

- Powinien wziąć sobie żonę - zgodził się z nim drugi.

- Ale która by go zechciała? - wykrzyknął Luca Carluccio, pomarszczony szewc, który obserwował z radością to widowisko, stojąc w drzwiach swojego zakładu po drugiej stronie ulicy.

- Podobno kupił pościel...

- Jest na skraju załamania, to pewne. Susanna Bordino nie omieszkała wyjść z piekarni, by sprawdzić, czy nie doszło do zniszczenia nieruchomości, która, jak przysięgła, już niedługo będzie należała do niej.

- Ej, ty! - krzyknęła do nieszczęsnego hodowcy oliwek. - Idź roztrzaskiwać sobie łeb gdzie indziej. Taki wielki globus jak twój, waląc o ścianę może wywołać nawet trzęsienie ziemi.

Arcadio, ogłuszony w równej mierze przez swoją nieudaczną, jak i przez uderzenia, powlókł się do ukochanego gaju oliwnego i powierzył swój gorzki sekret drzewom. Miał świadomość tego, że rozmowa, o ile w ogóle można to tak nazwać, nie poszła za dobrze. Kiedy przygotowywał swoją błyskotliwą mowę, nie wziął pod uwagę, że może ją zniweczyć jego własna nerwowość. To ona sprawiła, że tak doskonały plan spalił na panewce. Jakżeż przeklinał swoje autodestrukcyjne zapędy!

Patrzyłam na niego zza szeleszczącego żywopłotu. Miałam oczy zamglone łzami. Wstyd przyznać, ale moja pani zmuszona była odbyć drogę na pogrzeb na własnych nogach, ponieważ tego ranka po raz kolejny uciekłam z zagrody.

Kiedy łyż Arcadia Carnabuciego wsiąkły już w kompost w gaju oliwnym, przyczyniając się do zaostrenia smaku jego słynnego oleju, i kojące powietrze nieco go uspokoiło, spróbował ujrzeć jasne strony swojej sytuacji.

Wiedział, że mimo przejściowych problemów, ta kobieta należy wyłącznie do niego. Jutro wystroi się w najlepsze ubranie - żadnych więcej półśrodków - i wróci do rzeźnika. A tam śmiało wyzna miłość i zdobędzie upragnioną nagrodę.

# Część trzecia

## WZRASTANIE

### Rozdział pierwszy

Nazajutrz Arcadio Carnabuci ujrzał własne odbicie w lśniącym oknie wystawowym Szczęśliwej Świnki i ledwo rozpoznał sam siebie. Zostawił okulary w domu, a bez nich niewiele widział. Jego twarz pozbawiona szkieł nabrała całkiem innego wyrazu. Wyglądała nie tak, jak powinna, i nawet ci, którzy nie widzieli go nigdy przedtem, orzekliby, że czegoś jej brakowało.

Dobrych kilka sekund zajęło mu rozpoznanie siebie w elegancko ubranym osobniku, z zaczesanymi do tyłu włosami i czerwonym goździkiem w butonierce.

Garnitur hodowcy oliwek stanowił jedyne źródło pożywienia dla rodziny moli, która zamieszkiwała szafę. Patrzyły z przerażeniem, jak Arcadio zdejmuje go z zardzewiałego wieszaka.

- Będzie z powrotem w porze obiadu, moje skarbeńki - uspokoiła matka wygłodniałe dzieci, starając się, by jej głos brzmiał pogodnie, choć perspektywa braku śniadania nie nastrajała jej zbyt optymistycznie.

Spodnie, jak na obecną modę, były trochę za krótkie. Mimo to, gdy Arcadio Carnabuci rozpoznał siebie, i jego zaskoczenie zmalało, pozwalając już opaść brwiom, poczuł, że rozpiera go duma.

Sięgnął do kieszeni po karteczkę, na której napisał sobie, co ma dziś powiedzieć; postanowił tym razem nie dać się zjeść nerwom. Ślęczał nad tą notatką cały wieczór. Sto karteczek, które kupił w sklepie papierniczym przy Via Battista, szybko uformowało stos na podłodze pod stołem. Kiedy w końcu sięgnął po ostatnią, wiedział, że tym razem musi wypełnić ją właściwymi słowami. Teraz albo nigdy. Żadnych więcej pomyłek. Jego ręka, czując ogarniającą go frustrację, bez udziału woli chwyciła długopis i tylko patrzył, jak wypełnia kartkę dziecinnym charakterem pisma, pisząc, co następuje:

„Fernando Ponderosa. Kocham cię. Bądź moja”.

Przyglądał się tym wyrazom, wypatrując ukrytego znaczenia. Jednak nie dostrzegł go. Słowa były proste i jasne. Bez przesady, bez zawilości. Nie wyrażały w pełni jego uczuć, zważywszy jednak na okoliczności, dobre i to. Biorąc niezależne działanie ręki za dobry znak, zgasił lampę i poszedł spać, starając się, na próżno, śnić o Fernandzie. Jej zwiewna postać zawisła gdzieś nad nim, ale za każdym razem, gdy próbował ją złapać, znikwała.

Następnego ranka dźwięk dzwonka u drzwi obwieścił ponowną wizytę Arcadia Carnabuciego w sklepie Szczęśliwa Świnka. Kiedy już znalazł się w środku, jego słabe oczy natychmiast zaczęły szukać posągowej postaci ukochanej.

Wszystko, co dostrzegał, to różowe kształty, które niepokoiły go do chwili, gdy uświadomił sobie, że to szynki zamazane przez jego krótkowzroczność. Tubalny głos sprawił, że podskoczył z miną winowajcy. Ów głos nie należał do Fernandy Ponderosy. Nie. To był głos Prima Castoriniego.

- *Salve*, Arcadio.

Usta hodowcy oliwek znów poruszyły się jak u ryby. Nie tego się spodziewał.

Primo Castorini od razu zauważył przemianę, jaka zaszła w Arcadiu, i jego zazdrość stanęła dęba jak kobra gotowa do ukąszenia.

- Coś takiego, sąsiedzie - zagrzmiął - twój wygląd tak bardzo się zmienił, że ledwo cię poznałem. Czyżby znowu ktoś umarł? Wstąpiłeś do nas po drodze na jakiś następny pogrzeb? I gdzie się podziały twoje okulary? Miałeś wypadek?

Te pytania skonfundowały nieszczęśnika jeszcze bardziej. Przebiegł wzrokiem po półkach wypełnionych słoikami marynat, które wydawały się żywe, ponieważ zmieniały ciągle swoje kształty. Daremnie szukał pewności, z którą wszedł do sklepu. Podobnie bezskutecznie wypatrywał Fernandy Ponderosy.

- Dobrze się czujesz? Mam zadzwonić po Concettę Crocettę?

Palce hodowcy oliwek odnalazły karteczkę w kieszeni. Ale nie mógł jej wykorzystać. W końcu, po dłuższej ciszy, kiedy Primo Castorini szedł już do drzwi po pomoc, Arcadio postanowił wydusić z siebie bodaj jedno słowo. Rozpaczliwie, niczym sztukmistrz wyciągający królika z cylindra, wypalił:

- Szynkę.

Wymówił to słowo zdecydowanie za głośno. Po ciszy, która je poprzedzała, zabrzmiało jak krzyk. Ale wymówił. Wydobyło go to z opresji. Dwie krótkie sylaby wyrażały całe jego cierpienie, cały ból, tęsknotę, wzburzenie i trawiący go płomień. Teraz z kolei Primo Castorini



aż podskoczył z wrażenia. Momentalnie stracił rezon. Odwrócił się i spojrzał na hodowcę oliwek innymi oczami. Wydał on z siebie dźwięk. Dźwięk, jakiego Primo Castorini nie słyszał nigdy przedtem. Czy Arcadio Carnabuci był w stanie to zrobić? Czy Primo i wszyscy inni w regionie mylili się co do niego? Czy ta żalosna myszka naprawdę była mężczyzną?

Masarz przypatrzył się swojemu klientowi, starając się znaleźć w tym wystrojonym jak stróż w Boże Ciało wraku człowieka przebłysk namiętności, która pozwoliła mu wydać ten niewiarygodny ryk. Jednak go nie znalazł. Zakłopotany Arcadio Carnabuci wpatrywał się w posadzkę i przenosił ciężar ciała z nogi na nogę w butach, które uwierały go w palce. Nie wyjmował ich z pudełka od pogrzebu matki, dwadzieścia dwa lata temu. Uwierały wtedy, uwierały i teraz.

- Czy powiedziałeś: „szynkę”? - zapytał rzeźnik. Jego niedowierzanie sięgało zenitu.

Arcadio Carnabuci nieznacznie skinął głową.

Primo Castorini wziął z wystawy jedną z szynek, tak, jakby brał na ręce nowo narodzone dziecko -z miłością, troską i strachem przed upuszczeniem - i zawinął ją czule w woskowy papier. Szkoda mu było tracić jedną ze swoich wspaniałych wędlin dla takiego głupca, w sumie jednak był to tylko interes. Nie mógł więc sobie pozwolić na sentymenty.

- Zdaje się, że ostatnio jesz dużo szynki, Arcadio - powiedział ponurym głosem, powoli i wyraźnie. - Fernanda Ponderosa sprzedała ci jedną zaledwie wczoraj, prawda?

Słyszając imię swojej bogini, wcielenia cnót wszelakich, muzy i miłości jego życia, Arcadio Carnabuci zadrżał jak porażony prądem, po czym wziął się w garść, ponieważ zbierało mu się na płacz.

- Czy aby trochę nie przesadzasz? - kontynuował cichym głosem Primo Castorini, obwiązując pakunek sznurkiem, który następnie przeciął ogromnym nożem. Nożem o wiele większym niż zwykle używany do przecinania. Spojrzenie jego dzikich oczu przyprawiło Arcadia o szybsze bicie serca. Czy naprawdę w głosie rzeźnika słychać było groźbę, czy tylko nerwy, napięte jak struny skrzypiec, kazały mu tak sądzić?

Zmusił się do wręczenia zapłaty i zabrania szynki, która zdawała się ważyć zbyt dużo, by ją udźwignął. Powłócząc nogami, wyszedł ze sklepu, będąc zupełnie innym człowiekiem niż ten dziarski i żwawy osobnik, który wszedł tu ledwie cztery minuty wcześniej. W tym krótkim czasie postarzał się o czterdzieści lat. Był żalosny, z wypomadowanymi włosami, goździkiem w butonierce i w najlepszym ubraniu, które każdy inny mężczyzna w regionie wstydziłby się nawet ofiarować *poveri*.

Ledwo wyszedł ze sklepu, o mało nie został stratowany przez Fernandę Ponderosę, która właśnie wracała ze sprawunków. Spojrzała na niego, jakby był czymś, w co mogła wdepnąć. Zanim zdążył wydukać przeprosiny, że w ogóle ośmielił się znaleźć pod jej stopami, zniknęła w sklepie. Dzwonek u drzwi odezwał się raz jeszcze.

Susanna Bordino, która właśnie myła okno, przygotowując się do wizyty signora Cocozzy z inspektoratu sanitarnego, spojrzała na Arcadia Carnabuciego wzrokiem, który mógłby wypalić dziurę w chlebie pieczonym właśnie w piekarni Bordina. Zaraz też zawołała męża, Melchiore, i teścia, Luigiego, jak również całą kolejkę klientów czekających, aż z pieców wynurzą się gorące, chrupiące, wypełniające powietrze wspaniałym aromatem bochenki, by na własne oczy zobaczyć mogli Arcadia Carnabuciego w tym dziwnym przebraniu. Instynkt podpowiedział Luigiemu Bordinie, dlaczego Arcadio ubrał się jak błazen, a zazdrość wytoczyła spienione drożdże na zwykle spokojne wody jego duszy.

Hodowca oliwek tym razem już nie walił głową w ścianę piekarni, tylko gapił się pustym wzrokiem na twarz za szybą. Można mówić o prawdziwym szczęściu, że bochenki chleba nie zwęgły się dokumentnie, ponieważ Luigi Bordino tak jak i inni, zapominając o bożym świecie, zapatrzył się na mojego biednego Arcadia.

I staliby tak jeszcze długo, gdyby nie to, że olśniewające majowe niebo zlitowało się nad wszystkimi i zrzuciło krople deszczu, które przykleiły tłuste włosy mojego ukochanego do czołki i spowodowały, że niedoszły obiad moli momentalnie nasiąknął wodą.

W ciągu tych kilku minut, które wydawały się trwać całą wieczność, Arcadio Carnabuci sądził, że umarł i poszedł do piekła. Wciąż nie ruszał się ani na krok, zupełnie jakby zapuścił korzenie. W końcu, kiedy deszcz zaczął spływać potokami po twarzy i zalewać mu oczy, czyniąc go podwójnie nieporadnym, powłókł się wolno do domu, przygięty do ziemi zarówno ciężarem szynki, jak i rozpaczy.

W przesyconym aromatami ciepłe piekarni Bordina, stojący w kolejce mieszkańcy miasteczka znów zaczęli się poruszać, niczym aktorzy na scenie. Luigi Bordino przypomniał sobie w ostatniej chwili o chlebie i, prawdę mówiąc, tego dnia skórka miała nieznacznie ciemniejszy odcień niż zwykle. Melchiore powrócił do lukrowania *pasticcini*, a Susanna gromkim głosem obwieściła wszem i wobec, że błazen, którego widzieli przed chwilą, to nie kto inny jak Arcadio Carnabuci.

Główny aktor tego przedstawienia dotarł do drzwi swojej chałupiny dopiero wtedy, gdy deszcz przestał padać - tak raptownie, jakby ktoś nagle zakręcił kurek. Chmury zniknęły, słońce

znów zaczęło prażyć i w ciągu kilku chwil wyschły wszystkie kałuże. Jedyнным wspomnieniem ulewy była wilgoć stroju Arcadia. Cudem udało mu się nie rozplakać.

Przemoczone ubranie stało się ciężkie jak zbroja. Czerwony goździk utonął w butonierce. Karteczka w kieszeni zmieniła się w papkę, wypisane na niej drogocenne słowa stały się plamą atramentu. Bez zastanowienia zdjął marynarkę i spodnie. Zostawił je tam, gdzie je zrzucił, w korytarzu. Garnitur stał się jego najgorszym wrogiem. Utożsamiał go z tym okropnym poraniem i obwinał o swoje niepowodzenie.

Wtaszczył szynkę do swojej małej kuchni, ocienionej klęską i rozczarowaniem. Jakże inna była teraz od tego jasnego, radosnego pomieszczenia, które opuszczał nie tak dawno temu. Założył okulary, okulary, których się wstydział, a które leżały obok kubka z niedopitą kawą. Usiadł i przyjrzał się swojemu odbiciu w kubku. Jego udręczone oczy patrzyły na niego z wyrzutem.

„Ty głupcze” - wyczytał z nich. Tak. Był głupcem. Starym głupcem.

## Rozdział drugi

W Szczęśliwej Świnie Fernanda Ponderosa myła i pastowała podłogę, kroila szynki, pakowała kielbasy, oporządzała świńskie łby i obsługiwała klientów z wyniosłością, która podwajała jej atrakcyjność. Sklep nigdy jeszcze nie był tak zatłoczony. Wydawało się, że tego dnia pojawili się tutaj wszyscy mężczyźni z okolicy, i Primo Castorini wiedział, że to nie mięso ich tutaj przyciągnęło.

Luigi Bordino odnalazł w Fernandzie Ponderosie swą muzę. Dowiedziawszy się o sympatii, jaką żywiła do małpki, upiekł chleb w kształcie Oscara naturalnych rozmiarów. Towarzyszyły mu chlebki-żółwki. Fernanda potraktowała Luigiego jak jedno ze swoich zwierzątek i śmiała się z tego, w jaki sposób chce zaskarbić jej względy. Innym jednak wcale nie było do śmiechu. Susanna Bordino toczyła pianę z ust. Jej głupi teść zachowywał się jak zakochany nastolatek, ale co mogła na to poradzić? Delikatne włoski w uszach Melchiore jeżyły się od jej narzekań. Mimo że ich ojcowie, dziadowie i w ogóle wszyscy przodkowie byli sąsiadami, a nawet przyjaciółmi, Primo Castorini postanowił podciąć wielkim nożem gardło Luigiego. Zrobi to, jeśli jego głupota będzie się utrzymywała. Tak, zaszlachtuje go jak świnię. Upuści mu krwi. Powiesi na haku. Wypruje z niego flaki. Przerobi na kielbasy. Wiedział, że zrobi to już niedługo. Nawet w tej chwili. Boże, dopomóż - popadał w szaleństwo.

Cały dzień bił się z tego typu myślami. Rozważał zamknięcie sklepu. Nie mógł zdzierżyć widoku innych mężczyzn śliniących się do niej. Każde lubieżne spojrzenie było dla niego zniewagą. A jeśli przez to upadnie firma? Nic go to nie obchodziło. Nie była już dla niego ważna. Chciał tylko patrzeć na Nią.

Tak, Fernanda Ponderosa przywodziła go do szaleństwa. Całkowicie nim zawładnęła. Patrzył z niedowierzaniem na minione czterdzieści osiem godzin. Nie poznawał siebie. Nie był już Primem Castorinim, rzeźnikiem. Był teraz kimś innym. Ale kim? Nie miał pojęcia.

A mimo to zdawała się go nie dostrzegać. W ogóle. Dlaczego? Nie zasłużył na takie traktowanie. Do tej pory nie narzekał na brak powodzenia u kobiet. Wiele z nich zabiegało o jego względy. Teraz męska duma rzeźnika doznała uszczerbku. Co było z nim nie tak, że został wzgardzony i potraktowany jak każdy inny głupiec?

Tego wieczoru Primo Castorini zabawiał się w towarzystwie wdowy Filipucci, przyjaciółki, z którą, przed tą katastrofalną zmianą, był bardzo szczęśliwy. Nie potrafił już jednak wyrzucić z myśli Fernandy.

Nawet wtedy, gdy wdowa śpiewała mu pieśni miłosne, brzdąkając na gitarze, nawet wówczas, gdy tańczyła przed nim nago, nawet, gdy przybierała tantryczne pozycje, które ćwiczyła specjalnie dla niego, nawet wtedy przeklinał ją za to, że nie jest Fernandą Ponderosą. Bo czy jakakolwiek kobieta mogła z nią konkurować? Wdowa była głupia, że w ogóle próbowała. Nie był zwyczajnie znudzony. Był pełen obrzydzenia.

Po opuszczeniu buduaru wdowy Primo Castorini długo błąkał się po ulicach miasteczka. Nie wiedział, dokąd idzie ani - co robi. Szorował butami po trotuarze. Ci, którzy go widzieli, bali się, że wywoła w końcu trzęsienie ziemi albo przynajmniej lawinę. Miasteczko zostało wybudowane dokładnie nad olbrzymią szczeliną w skorupie ziemskiej i w przeszłości nawet zbyt silne rozbijanie jajek na miękko stawało się przyczyną katastrofy.

Prima Castoriniego nic to nie obchodziło. Niech wywoła trzęsienie ziemi. Niech zginie. Niech wszyscy zginą. Już lepsze to niż ten smutek. Wszystko go swędziało. Pozostawał sztywny, spięty, starał się kontrolować wszystkie mięśnie, w żaden sposób nie mógł jednak zmniejszyć tego łaskotania, tarcia, rwania, bólu, tak, zdecydowanie bólu, który go wypełniał.

Moja pani, która akurat przechodziła obok, mrugnęła do Prima i podała mu tubkę maści.  
- Smaruj się tym - powiedziała życzliwie. - Powinno pomóc.

Jednak Primo Castorini doskonale wiedział, że żaden medyczny środek nie jest w stanie go uzdrowić. Przed oczami miał wciąż twarz Fernandy Ponderosy. Chociaż zewnętrznie przy-

pominała Silvanę, jego zdaniem siostry w ogóle nie były do siebie podobne. Mimo że miały takie same rysy, jakieś czary sprawiły, że Fernanda była wyjątkowa. Jej ciało, postura, dostojny krok, wszystko zostało stworzone po to, by niszczyć mężczyzn. Boże, jak bardzo pragnął zostać zniszczony!

Dlaczego tak mało dawała z siebie? Próbował wciągnąć ją w rozmowę. W końcu byli właściwie rodziną. W ciągu dwóch pełnych udręki, cudownych dni, które spędzili razem, nic o sobie nie mówiła. Nie udzielała żadnych informacji na tematy osobiste. To było niepokojące. Co takiego skrywała? W co grała? Kim była? Czym była? Jak wyglądała jej przeszłość? Jaka będzie jej przyszłość?

Czy powinien teraz do niej pójść? Paść jej do stóp? Rzucić ją na łóżko i pokazać, jak kocha prawdziwy mężczyzna? Powstrzymywał go lęk przed odrzuceniem. Tego jednego nie potrafiłby znieść. To mogłoby go zabić. Och, jutro znów ją zobaczy. Będzie napawał się jej widokiem, wdychał ten obezwładniający zapach. Czuł dreszcz jej ciała, kiedy będzie przechodził obok. Jak zniesie te powolne nocne godziny, które dzieliły go od spełnienia marzeń?

Nogi mimo woli poniosły rzeźnika do jego starego domu rodzinnego. Chciał ją choćby przelotnie ujrzeć, to wszystko. Ale w oknach było ciemno. Budynek sprawiał wrażenie pustego. Momentalnie przed jego oczami pojawiły się bolesne obrazy: Fernanda i tajemniczy mężczyzna podczas kolacji przy świecach w Ristorante „Benito”, tańczący tango w „Divina” lub, co gorsza, leżący w swoich ramionach w wielkim okrągłym łóżu na czarnych satynowych prześcierałach.

Oczywiście Fernanda Ponderosa nie bawiła w miasteczku w towarzystwie innego mężczyzny. Nie w głowie jej były romanse. Siedziała przy długim stole w starej kuchni Castorinich nad filiżanką zimnej kawy, którą zapomniała wypić. Zapadł zmierzch, a ona wciąż rozpamiętywała przeszłość, próbując wciągnąć zmarłą siostrę w rozmowę. Jednak Silvana stanowczo odmawiała współpracy.

Przemierzający ulice w coraz większym gniewie Primo Castorini nie dostrzegł czającej się w mroku Susanny Bordino. Ona również bez reszty pochłonięta była myślami o Fernandzie, jednak z zupełnie innego powodu.

## Rozdział trzeci

Małe mole w szafie Arcadia Carnabuciego zwinęły się w kłębuszki i umarły z głodu. Ich matka leżała nieopodal, jej skrzydełka skruszyły się z żalu. Daremnie czekały całymi dniami na powrót garnituru.

Prawdę mówiąc, garnitur został wyrzucony na śmieci przez Concettę Crocettę, która znalazła go w korytarzu, kiedy przyjechała do Arcadia. Niewiarygodny instynkt podpowiedział mojej pani, że coś mu dolega, i zjawiała się bez wezwania.

Gdy weszła do kuchni, ujrzała mojego ukochanego w fotelu, w samych kalesonach - których nie nosił jedynie w sierpniu - i podkoszulku. Muszę powiedzieć, że cokolwiek by miał na sobie, w moich oczach zawsze wyglądał cudownie.

Nie przewidziała bezmiaru cierpienia, jakiego doznawał od poprzedniego dnia. Choć oczy miał otwarte, był nieprzytomny i ledwo oddychał. Jego ciało było zimne i szare, o wiele bardziej szare niż zwykle, a włosy przylegały do czaszki jak smoła. To wszystko wprawiło ją w tak wielki niepokój, jakiego nie zaznała jeszcze w całej swojej długiej karierze. Wyglądał, jakby zapadł na jakąś rzadką i straszną chorobę.

Concetta Crocetta podjęła środki ostrożności, wkładając gumowe rękawiczki, kupione w większej ilości od jednego z tych samych domokrażców, którzy płynąc „Santa Luigią”, wystraszyli się Fernandy Ponderosy, po czym przeprowadziła rutynowe badanie. Odkryła, że pacjent jest półżywy. Może nawet nie pół.

Zrobiła wszystko, co w jej mocy, by nieco ulżyć cierpiącemu, zdejmując mu z kolan szynkę i przykrywając go dywanikiem, który pokryty był zmiętymi kawałkami papieru. Widok szynki zmartwił ją. Słyszała o różnych dziwacznych fetyszach, lecz nigdy nie były to wędliny. Szybko więc wezwała karetkę.

Zaglądałam z niepokojem przez okno, moje nozdrza rozpląszczone były na szybie. Gdybym tylko mogła wejść do chatki, z pewnością bym go uratowała: zrobiłabym mu sztuczne oddychanie metodą usta - usta, masaż serca, wszystko, co konieczne. Wiele razy przecież widziałam swoją panią w akcji, z pewnością potrafiłabym wykonać to sama.

Dlaczego Concetta Crocetta nic nie robi? Nie podaje mu leków? Nie klepie go po policzkach? Nie polewa wodą? Cokolwiek, byle tylko wyrwać go z tego strasznego otępienia, które napęłniało mnie strachem.

Z niepokoju ryłam kopytkami ziemię pod oknem, zostawiłam też śluz na szybie, przez co ledwo widziałam, co dzieje się w środku.

Po czasie tak długim, że wydawał mi się wiecznością, a tak naprawdę - po dwudziestu siedmiu minutach i jedenastu sekundach, pobrzękiwanie dzwonek obwieściło przyjazd staroświeckiego ambulansu. Sanitariusze, Gianluigi Pupini i Irina Biancardi, byli stanem Arcadia Carnabuciego zasmuceni, ale nie zaskoczeni. Od dawna spodziewali się, że spotka go taki koniec.

Przenieśli go na nosze i wyszli. Concetta Crocetta, wciąż w gumowych rękawiczkach, chwyciła garnitur leżący w korytarzu i wrzuciła go do stojącego na podwórku pojemnika na śmieci.

Usiłowałam dostać się do ambulansu za moją panią, ale wyraźnie nie byłam tam mile widziana. Sanitariusze wypchnęli mnie z niego brutalnie, zostawiając na moim wrażliwym ciele siniaki. Oczy miałam pełne łez. Czy to nie oczywiste, że powinnam była z nim jechać? Właśnie ja, która kochałam go najbardziej na świecie? Nigdy nie wybaczę mojej pani jej braku współczucia i zrozumienia. Od tego czasu mam dla niej w sercu jedynie kawałek lodu.

Concetta Crocetta, która odbywała podróż z pacjentem, czuła się w obowiązku przeprosić za moje zachowanie i próbowała wytrzeć brud, który zostawiłam na podłodze. Powiedziała, że nie ma pojęcia, co we mnie wstąpiło. Gianluigi Pupini i Irina Biancardi napełnili strachem moje i tak już krwawiące serce, napomykając o tym, o czym od dawna wiedzieli: że nowy szef wydziału zdrowia dąży do wyeliminowania stopniowo wszystkich mułów i zastąpienia ich motorowerami. Stojąc za drzwiami, które przede mną bezczelnie zamknięto, zachwiałam się od tego straszliwego ciosu. Nie dość, że życie mojego ukochanego wisiało na włosku, to jeszcze stałam w obliczu redukcji etatów. Czy mogło być jeszcze gorzej?

Kiedy byli w końcu gotowi do drogi, na podwórko wbiegł ubrany w szorty i koszulkę Amilcare Croce, który teraz rzadko już odwiedzał pacjentów, a po prostu uprawiał jogging. Najwyraźniej wyczuł chorobę Arcadia Carnabuciego lub może, co bardziej prawdopodobne, obecność Concetty Crocetty.

Jakiegokolwiek były jego motywacje, pobiegł tak szybko, jak tylko jego potężne nożyska mogły go ponieść, w stronę gaju oliwnego Carnabuciego i małej chatynki obok. I co? Jak zwykle się spóźnił. Ujrzał tylko przelotnie Concettę, zanim drzwi karetki zamknęły się ostatecznie i Irina Biancardi ruszyła do szpitala w odległym Spoleto.

W ułamku sekundy ich oczy spotkały się jednak i pielęgniarka wiedziała już, że doktor przybiegł tu specjalnie dla niej.

Czy tylko w wyobraźni doktora Croce Concetta wyciągnęła do niego malutką rączkę? Czy jej zdawało się tylko, że lekarz uniósł swoją długą, szczupłą rękę, zanim Gianluigi Pupini, zatrzasnąwszy drzwi, wskoczył do szoferki i usiadł obok kierowcy?

Kiedy ambulans wytoczył się z wyboistego podwórka i skręcił na drogę, oczywiście pogalopowałam za nim. Moja pani w tym całym zamieszaniu zapomniała mnie uwiązać. Za sobą usłyszałam tupot butów na gumowych podszwach.

Na drodze nasz mały kondukt przyspieszył i Concetta Crocetta ujrzała lekarza, który sadył susami za karetką. Jakże marzyła o tym, by sforsować podwójne drzwi z tyłu ambulansu i rzucić się w jego stęsknione ramiona. Nie mogła jednak tego zrobić.

Irina Biancardi nie rozwinęła dużej prędkości, ale doktor, mimo całej swej tężyzny fizycznej i tak nie mógł dogonić pojazdu. Ani ja. Chociaż kłusowałam dzielnie, również w końcu zostałam daleko w tyle.

W miarę jak karetka nabierała prędkości, nasze postacie biegnące drogą robiły się coraz mniejsze, aż w końcu stały się drobnymi punkcikami. Wtedy Concetta Crocetta zrobiła coś, czego, jak przysięgała dawno temu, nigdy nie robi, a mianowicie uroniła łzę za doktorem Croce i tym, co mogłoby ich spotkać, gdyby los zechciał być dla nich łaskawszy.

Arcadio Carnabuci został już prawie całkowicie zapomniany przez pozostałych pasażerów pojazdu. Inna sprawa, że ich uwaga nie przyniosłaby mu wiele korzyści. Przykro to mówić, ale bawił w zbyt odległych rejonach, by pomogły mu zatroskane spojrzenia i zimny okład na czoło.

Gdyby poświęciła mu choćby jedną myśl (czego nie zrobiła), Concetta Crocetta prawdopodobnie poczułaby irytację, że stanął pomiędzy nią a spełnieniem jej marzeń i snów. Gdyby nie musiała towarzyszyć mu w drodze do szpitala, z pewnością wyskoczyłaby tylnymi drzwiami ambulansu, nie dbając o swoje bezpieczeństwo.

Doktor i ja nie ustawaliśmy w wysiłkach i dalej biegliśmy, kilometr za kilometrem. Przez pole Gerberta Nicoletty pełne melonów - mutantów, przez łąki kropkowane szarymi owcami, przez gaje oliwne z gruszkami. Przez stada kobył karmiących prosiaki, przez rzędy główek kapusty z ludzkimi twarzami zwróconymi w stronę słońca, przez winnice, gdzie na kołyszących się pnączach orzechy laskowe zastąpiły winogrona. Wszędzie widzieliśmy dowody na to, że delikatna równowaga w przyrodzie została naruszona.



Początkowo unikaliśmy swojego wzroku; towarzyszyło nam uczucie zawstydzenia; nigdy w swoim towarzystwie nie czuliśmy się w pełni swobodnie.

Amilcare Croce nie przepadał za mułami i nie rozumiał, dlaczego Concetta Crocetta uczyniła mnie swoją współpracowniczką; dla niego było to po prostu jedno z wielu dziwactw, które czyniły ją tak uroczą.

Ja z kolei nie potrafiłam mu zaufać. Nie mogłam nigdy zrozumieć, dlaczego pozwalał, by transportowa fobia rujnowała mu życie. Dlaczego, na miłość boską, nie sprawił sobie chociaż muła? Diabli mnie brali, kiedy obserwowałam, jak ci ludzie komplikują swój osobliwy romans. Byli tego samego rodzaju, mówili tym samym językiem, nie zaznawali przeszkód i trudności, które uformowały się w istną górę pomiędzy mną a Arcadiem Carnabucim. Dlaczego więc nie mogli rozmawiać z sobą cały czas i w końcu znaleźć szczęście, nim będzie za późno? Nawet gdybym żyła dwieście lat - już i tak miałam dziewięćdziesiąt siedem - nie potrafiłabym tego zrozumieć.

Nie o tym jednak myślałam, biegnąc za karetką. Byłam całkowicie pochłonięta troską o swojego kochanego Arcadia, nie wiedząc nawet, czy jeszcze żyje. Biegłam mimo bólu, który ciął moje nogi jak nóż, nie bacząc, że otarcia kopyt są coraz większe. Biegłam i będę biec, dopóki nie padnę.

Amilcare Croce, w odróżnieniu ode mnie, ledwie zdawał sobie sprawę z tego, po co w ogóle biegnie. Po prostu czuł nagłą potrzebę robienia właśnie tego, a poza tym, jeśli nie teraz, to kiedy? I nie mógł się zatrzymać. Jego nogi były zaprogramowane na bieg, ciągły bieg. Chciał po prostu być z Concettą Crocettą. Ledwie tyle i aż tyle.

Po pewnym czasie rzuciłam ukradkowe spojrzenie na doktora. Nic prostszego, gdy ma się oczy po bokach głowy. Co zobaczyłam? Zobaczyłam kogoś zakochanego tak jak ja. Ujrzałam też jego strach, niepokój, tęsknotę, ból, piękno, radość i szaleństwo, niecierpliwe, wybuchowe, nieznośne, doskonale, mrowiące, szalone, bulgoczące, krzyczące, piszczące, śmiejące się, płaczące i przyprawiające o gęsią skórkę. Krótko mówiąc, wszystko, czego doświadczałam i ja. Żar uczuć. Doktor był jego ciężkim przypadkiem.

Poczułam do niego coś w rodzaju sympatii. On z kolei stał się łagodniejszy dla mnie. I tak, zjednoczeni w biegu, dodający sobie otuchy, kiedy z powodu stromych wzniesień zaczynało być naprawdę ciężko i oddech stawał się krótszy, przebyliśmy jakieś osiem kilometrów, mając wciąż ambulans w zasięgu wzroku, ale daleko od nas, na długiej, prostej drodze.

Wytrzymałość ludzkiego i mulego ciała nie jest jednak nieograniczona. Nie mogliśmy tak biec w nieskończoność. Nieuchronnie zwalniałam - z galopu do truchtu, a w końcu - do chodu. Doktor Croce dostał kolki i pochylił się, by złagodzić ból. Ja szłam, kuśtykając na bolących kopytkach. Karetka zniknęła nam z oczu. Kiedy doktor wyprostował się, byłam już w pewnej odległości od niego. Rzuciłam mu pożegnalne spojrzenie i zaczęłam dalej wytrwale dążyć do celu. Amilcare Croce zaś odwrócił się i swoje kroki skierował do domu.

Zapewne naciągnął sobie mięśnie w łydkach, a jego ramiona i szyja zeszywniały. Karetka z Concetta Crocettą odjechała w siną dal, a on nie da już rady dojść do szpitala. Nie miał pretensji do swoich nóg ani nie chciał zmieniać ich decyzji. Wiedział, że potrzebują odpoczynku, pomachał mi więc wesoło, życząc szerokiej drogi, i ruszył niespiesznym spacerkiem do Montebufo.

## Rozdział czwarty

Tymczasem leżący w ambulansie Arcadio Carnabuci ledwie dychał. Gianluigi Pupini i Irina Biancardi żartowali jak zwykle, starając się rozchmurzyć pielęgniarkę, ale tak naprawdę bawiła ona daleko, w świecie własnych myśli. Mój kochany, delikatny Arcadio leżał tam niczym bryła bez życia. Widział jedynie biały sufit pojazdu i, kątem oka, włoski w nosie Concetty Crocetty.

Karetka przebyła drogę do Spoleto o wiele szybciej niż ja i niedługo potem zatrzymała się przed szpitalem. Sanitariusze zawieźli hodowcę oliwek do środka. Mimo jednak mnóstwa badań, którym został poddany, nie odkryto przyczyny choroby ani nie ustalono, jakie ma szanse, jeśli nie na wyzdrowienie, to przynajmniej na przeżycie.

Do jego pięknego ciała podłączono niezliczoną ilość drucików i rurek. Monitor EKG pokazywał prawie linię prostą. Funkcje mózgu, początkowo zerowe, spadły później poniżej tego poziomu, by w końcu w ogóle przestać mieścić się na skali.

Tłum lekarzy i przyszczatych studentów medycyny zgromadził się wokół jego łóżka, nikt nigdy bowiem nie widział niczego podobnego. Hodowca oliwek zdradzał oznaki zarówno życia, jak i śmierci. Lekarze orzekli, że to niemożliwe, ale nie mogli podważyć tego, co widzieli na własne oczy.

Arcadio Carnabuci, którego do tej pory tylko ja uważałam za cud, stał się cudem medycyny.

A wśród lekarzy były także kobiety.

- Widziałem trupy z większą aktywnością mózgu - powiedział z niedowierzaniem jeden ze studentów, uderzając w monitor palcem wskazującym.

- To jeszcze nic - odparł jego kolega ze szkoły medycznej. - Ja widziałem mózgi w słoikach dające wyższe odczyty.

- Musimy pamiętać, że w jego przypadku aktywność mózgu znajdowała się na końcu skali nawet wtedy, gdy było z nim wszystko w porządku - wtrąciła Concetta Crocetta.

Co robić? Znalazł się w strasznym położeniu. Chciał zapłakać, nie mógł jednak zmusić się nawet do tego, by łzy popłynęły mu z wytrzeszczonych oczu. To było nie do wytrzymania. Gdyby mógł, na pewno by się zabił.

Urok nowości w końcu przeminął i śmietanka środowiska lekarskiego przestała się nim interesować. Tłum wokół łóżka wykruszał się stopniowo, aż wreszcie pozostała jedna czy dwie osoby. Potem odeszły również one. Concetta Crocetta, którą wszyscy, od najbardziej utytułowanego profesora do najpośledniejszego lekarza stażystę, wypytywali o jego choroby i początki tego dziwnego schorzenia, wczesnym wieczorem w końcu mogła wrócić do domu.

Wszystkich zaintrygowała wzmianka o szynce i w dokumentacji medycznej Arcadia umieszczono określenie *porcofilo*. Odtąd personel właśnie tak zaczął nazywać między sobą hodowcę oliwek. Rzuciwszy na niego ostatnie spojrzenie i poklepawszy go po ramieniu, pielęgniarka wróciła do domu z masą romantycznych myśli wypełniających jej głowę.

Pozostawiony samemu sobie Arcadio Carnabuci dusił się we własnym sosie. Czemu w ogóle go to spotkało? Nie mógł tego pojąć. W końcu był hodowcą oliwek, nie lekarzem. To prawda, ostatnio był nadmiernie ożywiony. Doznał kilku rozczarowań. Czyżby to była reakcja alergiczna na szynkę? Aż w końcu nadeszło olśnienie: śpiew. To pieśń, którą śpiewał, tak na niego podziałała. Może jego biedne, słabe ciało dało z siebie więcej, niż mogło. Tak, to właśnie pieśń śpiewana tamtej nocy odpowiadała za to, co mu się przytrafiło. I na dodatek - nic to nie dało. Fernanda Ponderosa wcale się w nim nie zakochała. Właściwie miał powody, by sądzić, że właśnie przez ten śpiew go znenawidziła.

Czy będzie zmuszony pozostawać w podobnym stanie przez resztę życia? Czy pieśń podcięła go w kwiecie wieku? No dobrze, może i nie w kwiecie, ale zaraz po nim. To zbyt okropne, żeby było prawdziwe. Wszyscy wokół uważali go za martwego, a on żył. Nie mógł tego znieść. Jego rozpacz wzmagała się z każdą myślą.

Autobus z Concettą Crocettą ruszył z dziedzińca przed szpitalem, mijając mnie, kiedy chwiejnym krokiem szłam na uginających się nogach. Ale pielęgniarka mnie nie zauważyła. Jej myśli były daleko stąd. W miarę, jak na dworze zapadał mrok, a jej odbicie w szybie robiło się ostrzejsze, Concetta oddalała się do tajemnego świata własnych fantazji i każdy, kto na nią patrzył, widział uśmiech rozświetlający jej twarz. Nareszcie czuła, że Amilcare i ona się rozumieją. Że gdy los zetknie ich następnym razem, nie będą już skrepowani. Ten dzień okazał się decydujący.

Niestety, pielęgniarka nie zdawała sobie sprawy z tego, że kapryśny powiew romansu zaczął już wiać w inną stronę.

Amilcare Croce siedział w swoim domu w Montebufo, opierając obolałe nogi na poduszce i pijąc herbatkę ziołową, która, jak wierzył, mimo gorzkiego smaku, odeгна od niego brzemie upływającego czasu.

W drodze powrotnej do domu, po tym, gdy mnie pożegnał i patrzył, jak podążam za swoim ukochanym do Spoleto, pogrążony był w niewesołych myślach. Nie wiem, jak odkrył mój sekret. Może zdradził mnie wyraz oczu, a może uczucie do Concetty Crocetty wyostrzyło jego intuicję. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że miłość między różnymi rodzajami jest niemożliwa. Sam pomysł, że muła i człowieka mogłoby łączyć coś poważniejszego, był po prostu śmieszny. A jednak - życzył mi szczęścia. Uważał mnie za dzielną istotę i jego zdaniem ten żaloszny nieudacznik, którego obdarzyłam afektem, wcale na mnie nie zasługiwał.

A on sam? Czy on też popadł w przesadę? Biec za karetką taki szmat drogi. Wstydził się teraz. Co go do tego doprowadziło? Jak spojrzy w twarz Concette Crocette? Zachował się jak głupiec. Chciał wierzyć, że pielęgniarka przymknie na to oko i kiedy spotkają się następnym razem, będzie zachowywała się jak gdyby nigdy nic. Tym razem dziękował losowi, że sprzyścił się przeciw nim. Przy odrobinie szczęścia, kiedy znowu się zobaczą, jego ukochana nie będzie już o tym pamiętać.

Przystanąłam przed oknem obok łóżka Arcadia i spojrzałam na niego przez szybę. Choć wpatrywałam się w niego przez dłuższą chwilę, nie zauważyłam, by się poruszył. Nie drgnął mu ani jeden mięsień, wydawał się w ogóle nie oddychać, jego pierś się nie unosiła. Widząc to, cierpiałam katusze. Pragnęłam, by odpowiedział na moje modlitwy. Kiwnij palcem - prosiłam go w myślach - choćby jednym paluszkim, pokaż, że jest jeszcze w tobie choć trochę życia. Jednak biedny Arcadio nie mógł spełnić mojej prośby, z trudem więc udawało mi się wytrzymać ból, który przepełniał moje serce.

W końcu na oddział wjechał stolik na kółkach z kolacją i Arcadio Carnabuci przypomniał sobie, że od śniadania nie miał niczego w ustach. Potrawka z królika pachniała naprawdę niezwykle! Wciąż rozróżniał zapachy. Przenikały one przez plastikowe rurki, które bezceremonialnie wsadzono mu w nos. Jednak nie dane mu było posmakować tego specjału. Musiał leżeć w bezruchu i patrzeć, jak inni pacjenci, starsi ludzie w piżamach, zgromadzili się wokół stołu, by go spałaszować. Kolację hodowcy oliwek stanowiły zaordynowane dożylnie substancje odżywcze, zupełnie pozbawione smaku.

Przez całą noc miał otwarte oczy, mimo wysiłków pielęgniarki, Carlotty Bolletty, która starała się je zamknąć delikatnymi palcami. Z dworu cały czas obserwowałam Arcadia, towarzysząc mu niczym anioł stróż, podczas gdy on wściekał się na niesprawiedliwość losu.

Leżąc tam, pogrzebany w grobie własnego ciała, wiedział, że stracił szansę na stworzenie szczęśliwego związku z Fernandą Ponderosą. Nie podobało mu się spojrzenie, jakim poprzedniego dnia zgromił go rzeźnik. Stracił poczucie czasu. Concetta Crocetta opowiedziała lekarzom, że przez dwadzieścia cztery godziny tkwił nieruchomo w fotelu. Skąd to wiedziała? Czy to było zaledwie wczoraj? Wydawało mu się, że całe wieki temu.

Tak, odkrył, czego nie lubił w Primie Castorinim. Otóż rzeźnik też się w niej kochał. Zresztą, dlaczego miałby się nie kochać? Fernanda była tak zmysłowa, że tylko głupiec pozostałby obojętny na jej wdzięki. Dobrze wiedział, jaką reputacją cieszy się rzeźnik, słyszał o jego bezwstydnym uganianiu się za spódniczkami; na liście podbojów miłosnych Prima znajdowały się nastolatki, wdowy, gospodynie domowe, matki, a nawet, jak plotkowano, zakonnice. A teraz on, Arcadio, pozwolił mu sprzątnąć ją sobie sprzed nosa, podobnie jak jego, Prima, brat sprzątnął mu sprzed nosa jej siostrę. I tak oto historia zatoczyła koło.

To prawda, miał pecha. Ale nie powinien był pozwolić, by to się stało. Nie powinien był dopuścić, by ten drań ukradł mu jego oblubienicę. Dlaczego nie przyjechała do niego? Przecież zasadził i zjadł nasiona miłości, wezwał ją, jak wzywa się dzina z butelki. Nie mógł pogodzić się z porażką. Będzie o nią walczył. Na śmierć i życie.

Musiał się stąd wydostać. Tylko jak?

Raz jeszcze spróbował poruszyć swoim niesprawnym ciałem. Skoncentrował się na uniesieniu choćby małego palca, ale bryła bezwładnego ciała sprzeciwiała się jego wysiłkom. W końcu, wyczerpany, zapadł w koszmar senny, w którym po wsze czasy leżał uwięziony wewnątrz nieruchomej skorupy.

## Rozdział piąty

Nazajutrz Pomilio Maddaloni, najstarszy z chłopaków Maddaloniego i spadkobierca biznesowego imperium ojca, wkroczył dumnym krokiem do Szczęśliwej Świnki i rzucił na ladę egzemplarz „Il Corriere”.

- Jesteś skończony, Castorini - wycedził bez widocznego ruchu górnej wargi, ponad którą wyhodował meszek, mający uchodzić za wąsy.

„Szynka o mało nie doprowadziła jednego z mieszkańców miasteczka do śmierci” - krzyczał nagłówek. Poniżej opisywano drastyczne szczegóły. Zamieszczono również fotografię Arcadia Carnabuciego w szpitalnym łóżku, z siedmioma rurkami wetkniętymi do spuchniętego nosa; na dalszym planie widać było mnie, zaglądającą przez okno. Nie uważałam, bym wyszła zbyt korzystnie.

Inne zdjęcie pokazywało coś, co miało być szynką eksponowaną na wystawie. Sensacyjny podpis głosił: „Szynki Castoriniego - związek z tajemniczą chorobą”. Rzeźnik od razu uważał jednak, że na fotografii znajduje się falsyfikat. Wszędzie rozpoznałby swoją szynkę. Bardziej prawdopodobne było, że matka pomyli z innym swoje nowo narodzone dziecko niż Primo Castorini nie odróżni własnego wyrobu od wędliny zrobionej przez konkurencję. Mimo to musiał przyznać, że choć widoczna na zdjęciu szynka niezbyt przypominała jego produkt, większość czytelników mogła się nabrać.

Pod artykułem znajdowała się ogromna reklama Zakładów Mięsnych Pucilla z uśmiechniętymi świniami i hasłem: „Gospodynie domowe, czy stać was na ryzyko? Kupujcie szynki u kogoś zaufanego: przyjdźcie do Pucilla”.

Widok Fernandy Ponderosy, która wyszła z zaplecza, by rzucić okiem na gazetę, sprawił, że młodzieniec w za dużym garniturze w prążki doświadczył burzy hormonów, której nie czuł od okresu dojrzewania. Rozdziawił usta i chociaż szybko je zamknął, chcąc udąć światowca, nie mógł ukryć swojego pożądanego.

Wyleciał ze sklepu jak przekłuty balon, rozgrzany, zdenerwowany i płonący młodzieńczym rumieńcem. Primo Castorini chwycił duży nóż schowany pod ladą. Pokaże temu szczeniakowi. Tak patrzeć na jego kobietę. Z gniewem wbił nóż w gazetę.

Pomilio Maddaloni pozostawił za sobą ślady przykrych uczuć: kłujące gorąco, wściekłość, rozbawienie, wilgoć i skrępowanie. Wszystko to zawisło w powietrzu, dopóki przy drzwiach nie odezwał się ponownie dzwonek, obwieszczający przybycie *signora* Alberta Co-

cozzy z inspektoratu sanitarnego, który zjawił się, by skonfiskować jedną z szynek. Polecono mu bowiem poddać ją badaniom i testom.

- To jakaś bzdura - prychnął Primo Castorini, gotując się z wściekłości. - Nie odpowiadam za to, co ludzie robią z moimi szynkami po wyjściu ze sklepu. Nie można mnie za to winić. To spisek. Próbuje się mnie wyeliminować z branży. Ot co.

- Inspektorat sanitarny ma obowiązek chronić zdrowie ludności, signor *Castorini*. Ja tylko wykonuję swoje obowiązki.

Rzeźnik czuł, że zaraz straci panowanie nad sobą. Wydawało mu się, że uczestniczy w koszmarze, długim, realistycznym koszmarze. Napięcie ostatnich tygodni zebrało obfite żniwo. Dziś był już tylko wrakiem człowieka. Wszystko leciało mu z rąk. Rozpaczliwie poszukiwał uznania w oczach Fernandy Ponderosy, lecz mimo to go nie znalazł. Była nieprzenikniona. Zarzucił sieci jak rybak dalekomorski, ale wyciągnął je puste.

Czy tylko sobie to wyobrażał, czy Fernanda dotknęła go naprawdę? Czy podeszła do niego, kiedy spojrzał w jej oczy jak oczekujący ocalenia rozbitek, a przestrzeń między nimi zawirowała i rozjarzyła się? Poczul jej cudowny zapach. Pochyliła się i koniuszkami palców dotknęła jego dłoni. Przeszył go dreszcz. Jej muśnięcie rozpalilo go i mimo woli jęknął. Palce kobiety przesunęły się do jego odkrytych przedramion, do twardych mięśni. Tak długo pozostawał w ciągłym napięciu, że teraz bliski był rozpadnięcia się na kawałeczki. Oddychał z trudem. Ledwo mógł to znieść.

Miał wielką ochotę zamordować osobę, która ośmieliła się przerwać tę cudowną chwilę, wchodząc do sklepu przy wtórze dzwonka u drzwi. To był Luigi Bordino. Przyniósł Fernandezie Ponderosie w prezencie różę wykonaną z chleba. Nie zwrócił uwagi na ulotkę, podrzuconą pod jego drzwi, podobnie zresztą jak pod wszystkie drzwi w mieście, zachęcającą do kupowania wyrobów Zakładów Mięsnych Pucilla. Gotów był oddać życie za Fernandę Ponderosę. Marzył o tym. Dumny piekarz poczul jeszcze większą dumę na myśl o grożącym mu niebezpieczeństwie.

Primo Castorini tlił się jak płomień pod ziemią. Musi zaraz zamordować Luigiego Bordina albo nie odpowiada za siebie. Poza Luigim było jeszcze wielu innych niebezpiecznych mężczyzn, chcących kupić coś od Fernandy i zaznać przyjemności bycia przez nią obsłużonymi lub pragnących, by osobiście zważyła dla nich pęto kielbasy. By tłukła im kotlety schabowe. Uwielbiali patrzeć, jak jej palce dotykają mózgow, wielkich szorstkich jęzorów, gumowatych serc. Niektórzy się obawiali, ale nie mogli się powstrzymać.

Chociaż sklep był pełen klientów, artykuł w gazecie sprawił, że przez cały boży dzień nie została sprzedana ani jedna szynka.

Primo Castorini chciał wyrzucić wszystkich na ulicę i zamknąć interes. Z ponurą miną ostrzył nóż, podczas gdy Fernanda Ponderosa obsługiwała klientów. Czy naprawdę go pogłaskała? Jego skóra wciąż była pobudzona, ale oprócz tego wrażenia nie miał na to żadnego dowodu. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę do tego doszło. Pewnie to sobie tylko wyobraził. W każdym razie w jej zachowaniu zupełnie nic się nie zmieniło. Była tak protekcyjna i wyniosła, jak zawsze, i w ogóle nie patrzyła w jego stronę. Tracił zmysły. Czuł, jak rozum osuwa mu się niczym piasek w klepsydrze.

Oczywiście Arcadio Carnabuci był na językach wszystkich mieszkańców miasteczka. Fernanda Ponderosa przyjęła z ulgą wiadomość, że nie będzie go już miała na głowie, choć nie zdradziła się ani jednym słowem. Primo Castorini nadal miał ją na oku. Na patrzeć na nią zamierzał poświęcić całe życie. To był jedyny cel, jaki mu teraz przyświecał. Ku swojemu zadowoleniu nie odkrył w niej najmniejszego śladu afektu do hodowcy oliwek. Nie miał powodu do obaw.

Opinia publiczna była podzielona. Niektórzy ucieszyli się, ponieważ uważali Arcadia za zbrodnicę, którego bezwzględnie należało wyeliminować ze społeczeństwa. Naturalnie na czele tej grupy stała Susanna Bordino. Oprócz niej w jej skład wchodziły zakonnice z klasztoru, siostry Gobbi - kobiety z brodami, i Arturo Bassiano, sprzedawca losów na loterię, który po swoich przodkach odziedziczył urazę wobec klanu Carnabucich, sięgającą ponad pięciuset lat wstecz.

Jednak inni zmienili swoje nastawienie do mojego biednego ukochanego i obecnie uważali go za ofiarę zatrucia, a nie za osobę, która sama ściągnęła na siebie kłopoty.

Wrogowie Prima Castoriniego ucieszyli się, że jego szynki uznano za podejrzone. Nawet tacy, którzy wcześniej bronili rzeźnika, jak wdowa Filippucci, teraz żądali jego krwi.

Wdowa posunęła się wręcz do tego, że przyłączyła się do ekspedycji mającej odwiedzić mojego ukochanego w szpitalu w Spoleto, podróży tak długiej, że uczestniczyć w niej mieli tylko najbardziej mu oddani. Stary Neddo, pustelnik, specjalnie na tę okazję wynajął minibusa, a mimo to wszyscy chętni ledwo się do niego wtoczyli. Ponieważ prawo jazdy Nedda dawno temu straciło ważność, za kierownicą usiadła Speranza Patti. Miejsce obok zajęła Fedra Brini, która cały czas robiła na drutach kominiarkę dla pacjenta. Amelberga Fidotti była na tyle mała i szczupła, że mogła usiąść jej na kolanach, ale ciągle się wierciła. Tył zajmowało siedmiu ma-



łych złodziejasków Nellino i ich pies Fausto. Wepchali się tam, stanowczo odmawiając ustąpienia miejsca innym. Grupę uzupełniał Policarpo Pinto ze swoimi dwoma szczurami, wdowa i trzech reprezentantów rady miejskiej, którzy wcisnęli się w przestrzeń za tylnym siedzeniem.

W drodze Neddo oczarował podróżnych opowieścią o wizji, której bohaterem był Arcadio Carnabuci. Ujrzał w niej mianowicie mojego ukochanego, jadącego po zasnutym płomieniami niebie na złotym symbolu Szczęśliwej Świnki. Arcadio śpiewał przy tym mistyczne pieśni, tak stare, jak ziemia, jeśli nawet nie starsze, a tam, gdzie przejechał, z chmurek spadały krople oleju z oliwek. Słuchacze byli zdumieni. Zgodzili się, że wizja jest cudowna, żaden z nich jednak nie potrafił odgadnąć jej znaczenia. Błagali Nedda, by ją zinterpretował, ale w decydującym momencie, kiedy już prawie otwierał usta, mądrość kazała mu zapaść w jeden z jego charakterystycznych transów, który trwał aż do końca podróży.

Speranza Patti, która bała się dużych prędkości, wlokła się jak żółw i minęły długie godziny, zanim minibus dojechał do szpitala. Kiedy zobaczyła liczbę rurek i wężyków podłączonych do ciała mojego ukochanego, ogarnęła ją wielka fala litości i zrozumiała, że dotąd osądzała go niesprawiedliwie. Korzystając z nieuwagi pozostałych, wsunęła do swojej kieszeni jego okulary. Na pamiątkę. Nie były mu teraz potrzebne, argumentowała. Od tej chwili zaczęłam w niej widzieć rywalkę i mówię wam, napełniła mnie nie lada niepokojem.

Wszyscy odwiedzający wpatrywali się w Arcadia, oplakując jego straszliwy los. Słyszał, co mówią, ale oczywiście nie mógł odpowiedzieć. Był załamany. Niesłabnąca przez dwie ostatnie doby walka wyczerpała go i pozwoliła zrozumieć, w jak straszliwym położeniu się znajdował. Błagał w myślach Nedda, by uczynił jeden ze swoich cudów, ale święty mąż oczywiście go nie usłyszał.

Pokonany duch Arcadia Carnabuciego wycofał się w zakątek jego mózgu, tam zaś osunął się po ścianie i małymi rączkami w geście rozpaczony zasłonił swoją twarz. W końcu odwiedzający zmuszeni byli opuścić oddział i pojechali do domu, znowu w żółwym tempie. O ile raniem wszyscy śpiewali, by zabić jakoś czas, o tyle teraz, w drodze powrotnej, milczeli, jednako przygnębieni.

Tymczasem Primo Castorini zamknął w końcu sklep i opuścił rolety, odcinając się od klientów, którzy byli zbyt wystraszeni, albo zbyt ubodzy, by cokolwiek w nim kupić, a przyszli jedynie po to, by przez okno wystawowe popatrzeć na Fernandę Ponderosę.

Rzeźnik nie odrywał od niej wzroku, ale ona traktowała go z właściwym sobie lekceważeniem. Jak zwykle, kiedy zamknął sklep, nie powiedziała nic, tylko wyszła bez słowa. Wpadł

we wściekłość. Wiedział, że wszystko to sobie wyobraził. Jego umysł bawił się z nim w kotka i myszkę. Jeśli coś się szybko nie stanie, dołączy do leżącego w szpitalu Arcadia Carnabuciego. Wiedział, że ta kobieta zniszczy w końcu ich wszystkich. Tysięczny raz tego dnia wpatrzył się w ostrze noża, po czym, krzywiąc się, odłożył go na miejsce.

W czasie, który minął od jej przyjazdu, Fernanda Ponderosa wdawała się w jednostronne pogawędki z siostrą, starając się poskładać do kupy ich wzajemne relacje. Niestety, po tym pierwszym wieczorze Silvana już nigdy więcej się nie pojawiła.

Tej nocy jednak, kiedy Fernanda wspominała młodzieńca z wielkimi uszami, o którego pokłóciły się jako nastolatki, lecz jego imienia nie mogła sobie teraz przypomnieć, usłyszała głos siostry dobiegający z sufitu:

- Nawet po śmierci człowiek nie zazna spokoju. Dlaczego nie wyświadcysz nam wszystkim przysługi i się stąd nie wyniesiesz? Już i tak narobiłaś wystarczająco dużo kłopotów.

- Musisz być taka złośliwa? - warknęła Fernanda; jej cierpliwość się skończyła. Czekwała na odpowiedź, ale ta się nie pojawiła. Doprowadzało ją do szaleństwa, że Silvana nigdy niczego nie omawia do końca.

I wtedy zrozumiała, że wszystkie jej wysiłki są daremne. Siostra była równie głupia po śmierci, jak i za życia. Jeśli nie chce poprawić ich stosunków, Fernanda nic na to nie poradzi. To smutne, ale może nadszedł już czas, by pogodzić się z tym, że nie czeka ich szczęśliwe zakończenie. I tak, jak było do przewidzenia, Fernanda Ponderosa zaczęła myśleć o wyjeździe. Zawsze przychodziło jej to bez trudu, ponieważ cechowała ją umiejętność nieogładania się za siebie.

Mimo potwornego smutku, który przepełniał me serce, wiedziałam, że nie mogę tkwić bez końca przy szpitalnym oknie, czekając, aż Arcadio powróci do życia. Chociaż z trudem przychodziło mi zostawić go samego, musiałam powrócić do swoich obowiązków. Concetta Crocetta potrzebowała środka transportu. Wiedziałam, że jeśli zawiodę ją po raz kolejny, nie będzie miała wyboru i, mimo naszej długoletniej współpracy, wymieni mnie na motorower.

Z ciężkim sercem zrezygnowałam ze swojego dyżuru, do którego zdążyłam się już przyzwyczać, po czym, złożwszy na szybie ostatni pocałunek, odeszłam z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Spodziewałam się bólu nóg, ale gdy tylko stanęłam na drodze, moje mięśnie rozluźniły się i byłam w stanie kłusować tak szybko, jak już dawno tego nie robiłam.

Moje kopytka zagoiły się i były teraz tak gibkie i silne, jak za czasów młodości. Czując się dobrze, przyspieszyłam do galopu, a potem - do cwału. Miłość dodała mi skrzydeł. Odtąd kursowałam między swoją zagrodą i szpitalem jak lekkoatletka.

Im więcej biegłam, tym bardziej chciałam biec. Rozumiałam teraz, co prowadziło naprzód doktora Croce. Nie czułam już zmęczenia. Przeciwnie, byłam w znakomitej formie. I biegłam, biegłam, biegłam, czując wiatr w futrze, ryczący obok uszu i gwizdzący między moimi długimi zębami. Chyba biegłam tak samo dla siebie, jak i dla swojego ukochanego, zupełnie jakbym mogła mu, uwięzionemu we własnym ciele, przywrócić wolność.

## Rozdział szósty

Podczas gdy mój anioł leżał w szpitalu, ja starałam się, najlepiej, jak umiałam, wykonywać swoje obowiązki. Postanowiłam nie dać Concetcie Crocetcie najmniejszego powodu do tego, by przesiadła się na motorower, co byłoby równoznaczne z końcem mojej kariery. I trzeba przyznać, że dawno nie byłyśmy tak zajęte, jak tego lata. Temperatura gwałtownie się podniosła i zanotowano największe upały w historii. Silni mieszkańcy naszego regionu byli kompletnie dezorientowani i zawsze byliśmy w drodze na jakieś wezwanie.

Szczególnie niepokojący okazał się przypadek dziecka Fondich, które przyszło na świat podczas cudownego deszczu piór. Kiedy urodził się Serafino Fondi, jeszcze przed tragedią, która dotknęła mojego ukochanego, małe guzki na jego ramionach martwiły tylko jego matkę; jako jedyna załamywała nad nim ręce.

Potem, gdy guzki zaczęły sterczeć coraz śmielej, Belindzie Fondi nie pozostawało nic innego, jak uciec się do podstępu i ukrywać je pod ubrankami własnego wyrobu, ozdobionymi wymyślnymi pagonami, dzwoneczkami i błyskotkami, które miały odciągnąć uwagę od ułomności dziecka. Przechodnie gaworzyli z tym aniołkiem w pretensjonalnym stroju i przez pewien czas wszystko szło jak po maśle.

Potem jednak z guzów zaczęły wyrastać pióra. Początkowo był to tylko puszek. Drobnotka. Dotykający brzoskwiniową skórę meszek, przypominający wielkanocne kurczątki i ciepłą wyściółkę ptasich gniazd. Belinda Fondi okłamywała siebie i zaprzeczała, że to jest właśnie to, ale w końcu zmuszona była spojrzeć prawdzie w oczy. Kiedy matka i dziecko kąpali się wspólnie w starej cynowej wannie, Serafino roześmiał się i Belinda zauważyła, że guzy wypuściły skrzydła.

Malutkie skrzydełka, gwoli ścisłości, ale jednak, z perłowszarymi piórkami, które nie wchłaniały wody - jej krople stały się lśniąco-koralikami.

Belinda Fondi zmrużyła oczy i przypatrzyła się skrzydłom. Ostrożnie je pogładziła. W dotyku były dziwne. Jak skrzydełka pisklęcia. Czy jej dziecko zamieniało się w ptaka? Nie może o tym nikomu powiedzieć. Zostanie uznana za wariatkę. Będą chcieli zamknąć ją w *manicomio*, tak jak robili to z każdym, kto wydawał się inny. Ludzie tutaj są staroświeccy, z pewnością dojdą do wniosku, że to diabelska sprawka albo wynik czarów, a wtedy, kto wie, czym to się może skończyć. Siedziała więc cicho i prosiła Boga, by skrzydła zniknęły. Zaczęła też częściej niż zwykle zachodzić do *chiesa* i modlić się znacznie bardziej żarliwie niż przedtem. Kilka razy dziennie, a także w nocy, przyglądała się swemu dziecku z mocno bijącym sercem. Nie, wzrok jej nie mylił. Chłopcu wyrastały skrzydełka.

Niedługo potem Serafino odbył swój pierwszy lot. Belinda Fondi pochyliła się właśnie, by wyjąć placek wiśniowy z piekarnika, kiedy poczuła powiew za plecami, a odwróciwszy się, ujrzała swoje dziecko wysoko pod sufitem, a potem, latające z trzepotem skrzydeł wokół kuchni. Belinda nie była dumna ze słów, które wymknęły jej się z ust. Z wrażenia upuściła blachę z gorącym ciastem na stopy i uderzyła głową o kant stołu. Zawołała, by sfrunął na ziemię, ale kontynuował swój popis, trzepocząc skrzydełkami. Kobieta weszła na krzesło i próbowała go złapać, jednak chłopiec z łatwością prześlizgiwał się jej między rękami. Ku swemu przerażeniu uświadomiła sobie, że okno jest otwarte i rzuciła się, by je zamknąć, bojąc się, że Serafino wyleci. Kiedy jej mąż, Romeo, wrócił z pracy, zastał dziecko latające pod sufitem i płaczącą z rozpaczy Belinę, wyczerpaną daremnymi próbami pochwylenia synka.

- Uważaj, tylko go nie wypuść! - zawyła, kiedy otworzył drzwi, lecz było już za późno. Serafino znalazł się w korytarzu i skierował w stronę wyjścia. Na szczęście w tym krytycznym momencie pojawiła się Concetta Crocetta, która zgrabnie pochwyciła dziecko w siatkę na motyle.

Pielęgniarka zrobiła uprząż ze wstążek, przywiązała dziecko do łóżeczka i podała łagodny środek uspokajający Belindzie, która nie mogła dojść do siebie. Moja pani sama czuła niepokój. Nigdy, przez wszystkie lata pracy, nie widziała czegoś podobnego. Nie mogła sobie darować, że gdy dziecko przyszło na świat, wzięła pączkujące skrzydełka za zwykłe brodawki. Skąd jednak mogła wiedzieć?

Wyszła z domu i skierowała mnie w stronę Montebufo, ponieważ wiedziała, że nie uspokoi się, dopóki nie przedyskutuje tej sprawy z doktorem, który mógł czytać o takim przypadku w jakimś piśmie lekarskim.

Dojechaliśmy do jego domu około ósmej. Słońce było nisko na niebie, chwilę przed zachodem. Cień rzucany przez moje uszy miał długość domu, moje nogi przypominały drapacze chmur, a głowa Concetty Crocetty pojawiła się na ziemi pod postacią olbrzymiej, szerokiej na kilometr rzepy.

Nie widziała się z lekarzem od dnia, kiedy mój Arcadio został zawieziony do szpitala, czyli już jakiś czas temu. Chociaż czuła wtedy ostrożny optymizm, jej nadzieja została stłumiona podczas następnych tygodni, kiedy nie było okazji do spotkań. Bała się, że wrócą znów do punktu wyjścia, z niepokojem więc pochwyciła kołatkę w kształcie głowy lwa i zastukała nią niepewnie.

Kiedy Amilcare Croce otworzył drzwi, był zaspany, lecz mimo to wydał jej się cudowny. Włosy miał nieco zmierzwiłone. Jego policzki i brodę pokrywał trzydniowy zarost. Był ubrany w koszulkę i spodenki, te same od lat. Oczy miał nieco zmęczone. Zdziwił się bardzo, widząc ją tutaj, na progu swojego domu. Była osobą, którą pragnął ujrzeć najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie. Była też ostatnią osobą, której mógł się spodziewać. Cieniutki woal zmęczenia natychmiast opadł z jego twarzy. Przebiegł ręką po włosach, żałując, że wygląda tak niechlujnie. Pragnął być ogolony, wykąpany, w świeżej koszuli, jak tyle razy przedtem, kiedy ogarniało go fałszywe przeczucie, że jego ukochana stanie u jego drzwi. Dla Concetty Crocetty wyglądał jednak na tego, kim był w istocie: na miłość jej życia. Ogarnęła ją fala czułości i z trudem powstrzymała impuls, który kazał jej objąć go i już nigdy nie puścić.

Przez jakiś czas różne uczucia walczyły o to, by znaleźć ujście. Radość. Euforia. A w końcu rozpacz, kiedy niemożność stłumiła iskielki nadziei.

To Concetta Crocetta wystraszyła się jako pierwsza. Było nie było, to ona pojawiła się u niego. Mimo obietnic, jakie składała sobie w drodze powrotnej ze szpitala, skrepowanie i zawstydenie przybrały na sile. A i sam doktor zrobił się pąsowy na twarzy na myśl o tym, jak głupio się zachował podczas ostatniego spotkania. To, co zaczęło się obiecująco, zaledwie po dwóch sekundach zmieniło się w bezdenną otchłań głupoty i wstydu.

Opanowując drzenie głosu, wyjaśniła powód swojej wizyty. Słyszając jej racjonalną przemowę nikt, a już na pewno nie doktor, nie wpadłby na to, co w istocie czuła. Czar prysł. Tak dobrze udawała czysty profesjonalizm, że Amilcare Croce uwierzył, iż w ogóle jej na nim nie

zależy i nigdy nie zależało, i że przez wszystkie te lata ulegał złudzeniom. Jednak opis dziecka ze skrzydłami rozbudził jego ciekawość. Włożył buty, po czym wziął plecak, w którym trzymał maść i plaster gorczycowy do własnego użytku, a także narzędzia lekarskie, służące do pomocy pacjentom.

Wyruszyliśmy razem. Mimo że ostatnio dużo trenowałam, spowalniał mnie ciężar Concetty Crocetty na grzbiecie, ponadto tego dnia przebyłam już wiele kilometrów. Chociaż kopała mnie niemiłosiernie w moje mięciutkie, bielutkie podbrzusze, atletyczny doktorek zostawił nas daleko z tyłu. Ze szczytu pierwszego wzgórza pomachał nieśmiało, po czym zniknął nam z oczu.

Słońce również wybrało właśnie tę chwilę, by skryć się za górami, pograżając mnie i moją panią w atramentowej ciemności, odzwierciedlającej nastrój każdej z nas. Kolejny dzień moje kochanie leżało nieruchomo jak trup. Ile jeszcze czasu minie, zanim to bolesne oczekiwanie się skończy?

## Rozdział siódmy

Podczas gdy Belinda smacznie spała pod wpływem zaordynowanego jej przez Concettę Crocettę środka uspokajającego, Romeo pilnował dziecka.

Mimo to jakimś cudem zdołało ono uwolnić się z uprzęży i otworzyć okno.

Tego, co nastąpiło potem, nie sposób w pełni opisać. Cichuteńki trzepot skrzydeł, powiew tak delikatny jak zefirek i w okamgnieniu Serafina nie było w pokoju. Na tle wielkiego, okrągłego, woskowatego księżyca wyraźnie było widać, jak wzbija się coraz wyżej, ciągnąc za sobą sznur białych gołębi.

Doktor Croce, który w tej samej chwili pojawił się na podwórku, nie był w stanie już nic zrobić. Nie wierzył własnym oczom. Romeo Fondi wybiegł z domu, uzbrojony w siatkę na motyle, w którą Concetta Crocetta już raz złapała dziecko. Choć biegł szybko, podskakując tak wysoko, jak tylko mógł, nie na wiele się to zdało. Amilcare podążył za odchodzącym od zmysłów ojcem, a kiedy ten zrozumiał wreszcie, że jego syn naprawdę odleciał i że musi to jakoś wytłumaczyć żonie, usiadł na poboczu i zaczął szlochać.

Mężczyźni zapatrzili się w niebo, na którym dziecko ze skrzydłami stawało się coraz mniejsze, by w końcu zamienić się w kropeczkę, która po chwili całkiem zniknęła im z oczu. Widząc to, rozplakali się obaj. Następnej wiosny w miejscu, gdzie spadły ich łzy, wyrosły cał-

kowicie nowe i nieznane gatunki polnych kwiatów, stając się wielką sensacją wśród botaników na całym świecie.

Kiedy Romeo Fondi wypłakał już wszystkie łzy, doktor Croce pomógł mu wstać i otaczając ręką jego ramię, zaprowadził go wolno z powrotem do domu, w którym pogrążona we śnie Belinda Fondi nie miała pojęcia, że jej dziecko zaginęło w nieskończonym bezmiarze wszechświata.

Później, gdy doktor jako tako uspokoił zboląłego ojca, zostawił go samego i przez chwilę błąkał się bez celu, nie wiedząc, dokąd pójść. Nie mógł zrozumieć dziwnej przypadłości małego Serafina. Był roztrzęsiony. Wiedział, że medycyna nie potrafi tego wytłumaczyć. Nie znajdował racjonalnego, naukowego wyjaśnienia dla tego, co się stało. A nie wierzył w magię. Ani w diabła. Ani w Boga. Łatwiej mu było określić, w co nie wierzy, niż w co wierzy. Na własne oczy widział dziecko odlatujące na skrzydłach, które wyrastały mu z ramion. Nigdy nawet o czymś podobnym nie czytał. Gdzie zatem znaleźć wyjaśnienie?

Pośród chaosu tego świata tylko jedno było pewne: Concetta Crocetta. Wiedział, że jej potrzebuje i uczucie, że tu nie pasuje i jest w niezgodzie z sobą, że swoją duszą i ciałem, że jest jak przybysz w obcym kraju, przypisywał temu, że nie może z nią być. Nie uważał Concetty za panaceum na wszystko, co złe w jego życiu, z drugiej jednak strony czuł, że dopóki ta jedna sprawa, niespełniona i nierozwiązana od dwudziestu lat, nie zostanie załatwiona, nie będzie mógł myśleć o niczym innym.

Bezwiednie zjawił się przed naszym domem. To go zaskoczyło. Zmartwił się, że mógł zostać zauważony. Ale nawet jeśli faktycznie tak się stało, to co z tego? Czy ma to w tej chwili jakieś znaczenie? Tylko jedno się liczyło. Ona. Krążył dookoła tego domu tysiące razy. Gdyby tylko mógł do niej pójść. Objąć ją. Zanurzyć się w niej i zapomnieć o całym świecie, na chwilę, na zawsze. Ale nie potrafił się zmusić do przekroczenia bramy. Za każdym razem wahał się przez chwilę, a potem znów zaczynał krążyć.

Nie było mnie tam, oczywiście, ponieważ pod osłoną nocy udałam się do szpitala, ale kiedy wróciłam, wyczułam swoim wrażliwym nosem, że doktor tu był, czekał przed domem mojej pani, tak jak w przeszłości, jeszcze przed tragedią, mnie zdarzało się czekać przed chatką Arcadia Carnabuciego.

W końcu Amilcare Croce odszedł. Za tysiąc pierwszym okrążeniem zdał sobie sprawę z beznadziejności tego wszystkiego. Concetta Crocetta go nienawidziła. Tego wieczoru była taka oficjalna, szorstka i rzeczowa... Stracił szansę na bycie z nią, wiedział to teraz. Ukarła go.

Przed laty mógłby znaleźć szczęście. W tej chwili jednak zdawał sobie sprawę z tego, że okłamuje samego siebie, upierając się przy tym, że pielęgniarka choćby w niewielkim stopniu odwzajemnia tę wielką miłość, którą do niej czuł.

Tymczasem Concetta Crocetta leżała w łóżku, zgrzytając zębami. Ależ była z niej idiotka. Głupia idiotka! Powtarzała każde słowo ich sztywnej rozmowy. O ile w ogóle można to uznać za rozmowę. Bardziej - za spotkanie biznesowe. Och, to było beznadziejne. Ona była beznadziejna. Straciła umiejętność konwersacji. Nie wiedziała już, jak się rozmawia z mężczyzną. Nic dziwnego, że jest starą panną. Na dodatek, przez własną głupotę, pozostanie nią chyba do końca życia.

Wciąż zgrzytała zębami, kiedy wróciłam do stajni. Słyszałam to swoim wprawnym uchem. Gdyby tylko wstała i wyjrzała przez okno, tutaj, przy świetle wielkiego białego księżyca wciąż na niebie, zobaczyłaby doktora Croce stojącego pośród róż rosnących pod jej oknem, a wtedy wszystko by się zmieniło.

Ale nie zrobiła tego. I, niestety, doktor skierował kroki do swego domku w Montebufo. Prawie już świtało, kiedy tam dotarł, położył się w ubraniu na łóżku i wpatrzył się w zaciek na suficie. Nie mógł zasnąć. Myślał o wyjeździe. Rozpoczęciu wszystkiego od nowa, gdzie indziej. Pogrzebał siebie żywcem w tej przygnębiającej wiosce na dwadzieścia lat. Pozostawał tu tak długo tylko ze względu na nią. Ale może najwyższy czas pogodzić się z prawdą i się stąd wynieść. Miał uczucie, że jeśli nie uczyni tego teraz, potem będzie już za późno. Zadomowienie się gdzie indziej zajmie mu trochę czasu. Może powinien przenieść się z powrotem do miasta. Za stary już jest na to bieganie po wsi. Bolały go kości. Bolało go całe ciało. W mieście pacjenci mieszkają bliżej siebie. Spacerki trwające godzinę, najwyżej dwie, przeniesie go z jednego krańca miasta na drugi. Tutaj wychodził z wprawy. Tracił rozeznanie. Brakowało mu towarzystwa, rozmów, cywilizacji. Zardzewiał jak stary gwóźdź wbity w deskę. Może wyjazd to jedyny sposób, by wyrzucić Concettę Crocettę ze swojego serca.



## Rozdział ósmy

Nie tylko lekarz i pielęgniarka spędzili bezsenną noc, ale również małżeństwo Fondi. Kiedy Belinda w końcu się ocknęła i dowiedziała o wszystkim, stanęła przy oknie, na próżno trzymając uniesioną siatkę na motyle, na wypadek, gdyby jej dziecko pojawiło się w polu widzenia. Chciała utonąć we własnych łzach. Nie wiedziała, jak to wszystko wytrzyma.

Romeo namawiał ją, by położyła się spać, by zaznała przynajmniej trochę odpoczynku, ale kobieta obiecała sobie, że nie zaśnie, dopóki jej synek nie wróci. Będzie do końca życia wyglądać przez to okno. Przystawiała w domu wszystko tak, by nie musieć przerywać obserwacji. Tak, jak niewidomi, rozwinęła w sobie zmysł dotyku, dzięki czemu mogła pracować, nie patrząc.

Jej oczy cały czas wypatrywały Serafina. Stała się ekspertką w przepowiadaniu pogody. Bała się chłodnego wiatru znad Alp. Myśl o drżącym na zimnie gołym ciałku dziecka przejmowała ją dreszczem. Wszystkie szuflady wyładowane były ciepłymi ubrankami, które zrobiła na drutach, napełniając miłością każdy ścieg. Ludzie przybywali do niej tłumnie, by dowiedzieć się, jaka będzie pogoda, i wkrótce Belinda stała się słynna na cały kraj, ponieważ, w odróżnieniu od meteorologów, nigdy się nie myliła.

Nieszczęsna matka czuwała bez przerwy; nie robiła nawet przerw na sen. Trzy lata później, uchodzący za wzór cierpliwości Romeo, wreszcie się zbuntował. Pewnej nocy, po obejrzeniu wszystkich programów telewizyjnych, wysłuchaniu wszystkich audycji radiowych i przeczytaniu wszystkich artykułów w gazecie, siłą odciągnął żonę od okna i zaniósł ją do łóżka.

Belinda Fondi opierała się, kiedy jednak po raz pierwszy od trzech lat spojrziała na męża, zakochała się w nim na nowo. Zrozumiała, że był przez nią zaniedbywany.

Kiedy po jakimś czasie doczekali się dziewczynki (przyszła na świat dzięki pomocy Concetty Crocetty, której w końcu wybaczyli rolę, jaką odegrała w tamtej tragedii), zaraz po porodzie obejrzel ją dokładnie. Na szczęście nie zauważyli jednak śladów jakichkolwiek brodawek, nawet pieprzyka, krostki, znamienia czy najmniejszego piega. Mimo to Belinda postanowiła zachować środki ostrożności. Jej córka - Felice, dopiero w wieku siedemnastu lat przekonała matkę, że ona i jej młodsi bracia, Emilio i Prospero, nie powinni już nosić upręży i być przywiązywani do mebli.

# Część czwarta

## ZBIERANIE

### Rozdział pierwszy

Jednak wybiegam za bardzo w przyszłość.

Niedługo po wylocie Serafina Fondiego szynka Prima Castoriniego została oczyszczona z zarzutów. Mimo to mój ukochany nie zdrowiał. W dalszym ciągu leżał w bezruchu, w pułapce własnego ciała. Nikt, nawet ja, nie wiedział, że zachowywał świadomość. Personel szpitala był coraz bardziej znudzony wypatrywaniem w nim oznak życia. Arcadio został zapomniany niemal przez wszystkich, z wyjątkiem mnie, Speranzy Patti, której cotygodniowe wizyty potęgowały moją zazdrość, i naszego księdza, padre Arcangela, który nigdy nie zapomniał odmówić za niego specjalnej modlitwy podczas nabożeństwa.

Często wokół łóżka hodowcy oliwek zaciągnięte były zasłony, jego widok bowiem źle działał na pozostałych pacjentów. Urządzenia monitorujące, które i tak nie wykazywały żadnych oznak aktywności, pokrył kurz. Pająk rozpiął swoją sieć wokół palca u nogi Arcadia. Samotna mucha zasmakowała w jego górnej wardze. Jej łaskotanie doprowadzało go do szaleństwa, lecz w tym stanie rzeczy nie mógł z nią nic zrobić. Z każdym dniem ciało ciążyło mu coraz bardziej.

Muszę z dumą wyznać, że nigdy nie porzuciłam nadziei. Szczerze wierzyłam w to, że chory pewnego dnia powróci do życia, przeistaczając się jak poczwarka w motyla. Kto wie, może obudzi się specjalnie dla mnie i czeka nas świetlana przyszłość? Rzuciłam się w wir pracy, nie zaniehbując jednak nocnych wypraw do szpitala. Mogę szczerze powiedzieć, że Arcadio nawet na moment nie opuścił mojego umysłu, chociaż ja nigdy nie zagościłam w jego.

To przykre, lecz przez cały czas jego myśli zajęte były Fernandą Ponderosą. Nie mając nic do roboty, dzień i noc myślał o niej. Podobnie jak ja cierpiał z miłości. Przeklinałam swój los, wiedząc, że nie ja jestem źródłem jego cierpienia. Od tragedii znajdował się zwykle w tym zakątku swojego umysłu, który leżał najdalej od rzeczywistości. Uciekał tam przed rozpaczą spowodowaną chorobą i w ukryciu zadręczał się pytaniem, czy ona w ogóle kiedykolwiek go

pokocha. Pokocha? Nie pokocha? Pokocha? Nie pokocha? Zupełnie jakby odrywał płatki ze stokrotki.

Jednocześnie szalał z zazdrości, myśląc o tym, co nastąpiło podczas jego nieobecności, i wyobrażając sobie, jak Primo Castorini przypochlebia się przyszłej signorze Carnabuci. Te myśli czyniły samopoczucie pacjenta jeszcze gorszym i pokrywały go podobną do mydlin pianą, która piekła jego oczy i drażniła nozdrza. Och, jakaż to tortura nie móc nawet kichnąć!

Mimo że Primo Castorini, formalnie rzecz biorąc, został oczyszczony z zarzutu spowodowania śpiączki mojego ukochanego, w dalszym ciągu nikt nie kupował jego szynki. Mieszkańcy miasteczka już nie mieli na nie ochoty. A to, oczywiście, było na rękę Maddalonim i ich kompanom z Zakładów Mięsnych Pucilla.

Wszystkie szynki, które Primo przygotowywał z tak wielką miłością, wisiały teraz smętnie w magazynie Szczęśliwej Świnki. Nie tylko zresztą w magazynie. Zaistniał poważny problem nadprodukcji. Szynki potrzebowały lat, by osiągnąć stan doskonałości, a ponieważ przed tragedią sprzedawały się na pniu, rzeźnik wyrabiał wciąż nowe i nowe. Skutkiem tego zajmowały obecnie dosłownie każde wolne miejsce. Wisiały w korytarzu, w kuchni, na strychu, nawet - w sypialni Prima.

Nie zajmował się nimi wprawdzie tak gorliwie jak kiedyś, przed przyjazdem Fernandy Ponderosy, która zabiła w nim ochotę na jakąkolwiek inną kobietę, lecz wciąż nie mógł się przyzwycząić, że swoje miejsce do spania dzieli teraz z kawałkami wieprzowiny. Szynki wisiały tu w równych rzędkach i zdawały się go obserwować. Nawet przez sen czuł na sobie ich martwe, pełne przygany oczy. Utopił w nich ogromne pieniądze, co w znacznym stopniu komplikowało sytuację.

Czy to z powodu pogody, czy obawy przed wrogą konkurencją, niewiele osób kupowało również jego kielbasy. Ludzie wciąż przychodzili do sklepu, ale, ku wściekłości Prima, nie na zakupy, lecz na plotki.

Wszyscy zaczęli martwić się pogodą. Upały były wręcz nienaturalne. Temperatura rosła, jakby jakaś gigantyczna ręka odkręciła termostat. Z nieba lał się żar najgorszego rodzaju. Słońce było palącą raną na niebie. Ziemia spiekła się jak bochenki chleba Bordina.

Nasza bujna trawa nie miała już barwy zielonych jabłek. Była teraz zbrązowiała i nie dostarczała pożywienia. Oczywiście diabli wzięli również uprawy. Popękały pomidory na krzakach. Jabłka, brzoskwinie, gruszki i figi usmażyły się na gałęziach. Melony eksplodowały niczym dynamit, a ich nieszczęsny hodowca, Gerberto Nicoletto, doznał upokorzenia przez ka-

walek, który wbił mu się w siedzenie jak szrapnel. Moja pani nigdy dotąd nie widziała podobnej rany chociaż bez trudu zdołała usunąć kawałek owocu, Gerberto nigdy już w pełni nie odzyskał pewności siebie. To wydarzenie skłoniło go nawet do zlikwidowania plantacji, należącej do rodziny od piętnastu pokoleń. Doświadczony Gerberto rozpoczął karierę sprzedawcy odkurzaczy.

Żyto, pszenica, owies, jęczmień i soczewica poczerniały. Cała plantacja pomidorów spłonęła. Wszyscy bali się pożaru lasu, a tych, którzy palili papierosy, uważano za potencjalnych morderców.

Pastwiska przestały żywić zwierzęta. Najbardziej cierpiały owce. Leżały na plecach z nogami w powietrzu. Pasterze nie mogli nic na to poradzić. Kozy i krowy przestały dawać mleko i odpoczywały w cieniu, wachlując się liśćmi szczawiu. Wszystkie zwierzęta były odwodnione. Kurczyły się i marszczyły. Maria Calenda całymi dniami nosiła wodę, kąpiąc w niej swoje świnki. Nie dało się zrobić masła ani nastawić mleka na ser.

Psy chorowały na wściekliznę, wiele z nich trzeba więc było zastrzelić, nie wyłączając mojego ukochanego Maksa, który nagle zaczął biegać, tocząc z pyska pianę. Wielu oczywiście widziało w tym zły omen. Koty też się wściekły. W ślad za nimi pająki.

Zaczęły praść pajęczyny zakręcone jak loki. Muchy nie były już w stanie latać i leżały nieruchomo, modląc się o śmierć. Szczury też, ciężko dysząc, zalegały drogi i progi domów.

Pewnego dnia, gdy Fernanda Ponderosa wróciła ze Szczęśliwej Świnki do domu, odkryła, że jej małpka, Oscar, urodziła bliźniaki. Znalazła ją siedzącą w klatce i tulącą do siebie dwie istotki wielkości owoców granatu. Zwierzątko spojrzało na nią oczami pełnymi wyrzutu, jakby miało żal, że kobieta wcześniej z tym czegoś nie zrobiła. Prawdę mówiąc, Fernanda Ponderosa nie zauważyła nawet, że jej małpka przybierała na wadze, chociaż jej marynarskie ubranko z pewnością stawało się coraz ciaśniejsze. Kobieta nazwała dzieci Sole i Luna, Słońce i Księżyc, i uznała ich narodziny za dobry znak, chociaż dziwiła się, że nie udało się jej tego przewidzieć.

Pulchni mieszkańcy miasteczka nie pamiętali tak gorącego lata. Stali się ospali, leniwi i stracili apetyt, nawet na chleb Melchiore. Susanna Bordino, jedyna w całym regionie osoba bez nadwagi, czuła się w miarę dobrze, a jej przechwałki uczyniły ją jeszcze bardziej nielubianą. Luigi Bordino w gruncie rzeczy cieszył się, że interesy idą tak kiepsko. Zastanawiał się nad sprzedażem piekarni. Miałby kupę pieniędzy i więcej czasu na zajmowanie się Fernandą Ponderosą. Co go obchodził chleb? Czytając w jego myślach, Susanna Bordino zaczęła planować

swój kolejny krok i gdyby Luigi nie był zaślepiony miłością, z pewnością poczułby na sobie jej zły wzrok.

Podczas gdy większość ludzi leżała calutki boży dzień, skarżąc się na gorąco, gorąco, i jeszcze raz gorąco, niektóre, bardziej przedsiębiorcze jednostki odwróciły tę sytuację na swoją korzyść. Sebastiano Monfregola, fryzjer, nigdy dotąd nie był bardziej zajęty. Dzięki upałom włosy rosły tak szybko, że wielu jego klientów musiało obcinać je każdego dnia na nowo.

Fedra Brini ze swoich pajęczych sieci zamiast żagli zaczęła tkać części garderoby. Były tak zwiewne, jak żadne inne ubrania, lekkie jak szept, a przy tym modne, mogła więc za nie żądać naprawdę wysokich cen.

Oczywiście moja pani, dla której praca była zawsze najważniejsza, uwijała się jak w ukropie, jeżdżąc do chorych w całej okolicy.

Jak można się było spodziewać, przez udary cieplne i wysypki miałyśmy ręce pełne roboty. Te ostatnie odznaczały się prawdziwym bogactwem rodzajów: od purpurowych krost i zielonkawych grzybic, po skomplikowane wielobarwne zakrętasy, które wyglądały jak tatuaże. Odnotowałyśmy również inne dziwne reakcje. Amelberdze Fidotti wyrosła broda: od gorąca zaczęły wariować jej hormony. Berardowi Marcie wyskoczył na ramieniu guz, który wyglądał jak jego druga głowa, wielu zatem ludzi zaczęło go unikać, wierząc, że to sprawka samego diabła. Ci, którzy mieli nadwagę, dostawali palpacji i straszliwie się pocili, zostawiając za sobą mokre ślady podobne do śluzu ślimaka. Wszystkim moja pani zalecała pozostawanie w cieniu i picie dużych ilości wody, jednak już wkrótce jej zapasy zaczęły się wyczerpywać.

Nawet noc nie przynosiła ulgi. Ludzie spali na werandach, próbując złapać powiew przelotnego wiatru.

Od tygodni nie spadła ani jedna kropla deszczu. Rzeki wyschły. Jeziora wyparowały, zostawiając na mieliźnie zdezorientowane łabędzie. Błoto pozostałe po wodzie zamieniało się w kurz. Nie ocalały nawet łożyska rzek. Wszyscy borykali się z pyłem w oczach. Belinę Fondi bez przerwy nachodzili ludzie, żądający informacji, kiedy pojawi się oczekiwany deszcz. Matka anioła nie potrafiła jednak tego przepowiedzieć. Nie widziała najmniejszej oznaki zmiany pogody. Niebo pozostawało oślepiająco błękitne.

Lecz najgorsze miało dopiero nadejść. Głęboko pod ziemią dały się słyszeć złowieszcze dudnienia. Trzaski i skrzypy rozbrzmiewały w środku nocy, a nawet w ciągu dnia. Dla wszystkich stało się jasne, że skorupa ziemska szykuje się do pęknięcia. Nie miało to być jednak małe trzęsienie ziemi, jedno z tych, które często nawiedzały region.

W drogach porobiły się dziury. Zaczęły osuwać się kamienie. W wielkiej kampanili dzwony dzwoniły bez ustanku, chociaż nikt nimi nie poruszał. Rozregulowały się wszystkie mechanizmy zegarowe i nikt już nie wiedział, która naprawdę jest godzina.

Susanna Bordino kilka razy dziennie przyglądała się z niepokojem ścianom piekarni, znajdując za każdym razem jedno pęknięcie więcej. Ziemia drżała i nawet drzewa zaczęły się przemieszczać.

W gaju oliwnym mojego Arcadia drzewa, które stały w tych samych miejscach od tysięcy lat, zaczęły tańczyć wokół, reagując na ruchy poniżej korzeni. Duch Rema Carnabuciego, który kochał ten gaj ponad wszystko, wpadł w prawdziwą wściekłość. Przeklinał swojego nieszczęsnego syna i kazał mu przestać wylegiwać się w łóżku i zabrać wreszcie do uczciwej roboty. Ale nawet gdyby Arcadio wstał natychmiast z łóżka, i tak nic nie mógłby zrobić.

Chatka, w której mieszkała miłość mojego życia, zawałiła się podczas jednego z wielu obsunięć, teraz więc jej mieszkaniec był nie tylko nieprzytomny, ale również - bezdomny. Niektóre z jego rzeczy zostały wygrzebane z gruzu przez ludzi bez skrupułów, którzy potraktowali rumowisko jak kiermasz rzeczy używanych.

Niektórzy opuszczali region, zabierając z sobą dobytek i kierując się na północ lub południe, wschód albo zachód, mając nadzieję, że uciekną przed zbliżającym się trzęsieniem ziemi. Nawet pustelnik Neddo porzucił swą samotnię, postanawiając wrócić do żony i dwanaściorga dzieci, mieszkających na wybrzeżu, nieopodal Fano. Dla nas wszystkich był to straszny cios, jako że Neddo żył w górach od wielu lat i miejscowi uważali go za mędrca i świętego. Jak można się było spodziewać, nie odezwał się jednym słowem, zarzucił tylko worek na plecy i na bosaka opuścił ten niebezpieczny region, a wraz z nim nasze życie. Chociaż niektórzy poszli w jego ślady, większość pozostała. W końcu tu był nasz dom. Wszystkim nam towarzyszyło uczucie, że wkrótce wydarzy się coś ważnego.

## Rozdział drugi

W zamkniętym świecie Szczęśliwej Świnki nieszczęście wisiało w powietrzu. Primo Castorini zbyt długo już dźwigał na swoich barkach ciężar prowadzenia podupadającej firmy. Fidelio nigdy nie wróci. Nie miał synów, którzy mogliby po nim dziedziczyć. Pewnego dnia będzie musiał się poddać. Dlaczego nie teraz? Niech przejmą ich Zakłady Mięsne Pucilla. Co go to obchodzi? Kiedy sprzeda interes, będzie mógł kupić jacht i odpłynąć z Fernandą Ponderosą na drugi koniec świata. Daleko od wszystkich i wszystkiego. Zostanie z nią do końca życia.

Nawet masarnia poddawała się gorącu. Kiedyś oaza chłodu i spokoju, już nie powstrzymywała żaru. Dostawał się przez dach. Przez szklany fronton, mimo że zasłonięty był grubym płótnem. Przenikał przez kamieniarke, cegły i zaprawę murarską; wślizgiwał się pod drzwiami. Primo Castorini też wytwarzał ciepło. Tak, oddawał je. Na jego skórce można było smażyć jajka. I to nie z powodu pogody, lecz z powodu gotującej się w nim krwi. Wrzała z pożądania, które czuł do Fernandy Ponderosy.

W masarni było bardziej gorąco niż na dworze. Niedługo później mięso zaczęło się psuć. Chociaż wędzona wieprzowina trzyma się lepiej niż świeża, w końcu jednak gorąco zaczęło niekorzystnie wpływać na poupychane w całym budynku szynki. Jeśli szybko się nie ochłodzi, strach pomyśleć, co się wydarzy. W chłodni, chociaż straciła już swoje właściwości, i tak było przyjemniej niż gdziekolwiek indziej, więc Primo Castorini zamknął się w niej, puszczając wodze fantazji.

Nie był wciąż ani trochę bliższy zrozumienia tej kobiety. Przebicia się przez jej rezerwę. Cały czas trzymała go na dystans, uprzejma, ale chłodna i wyniosła. Niewątpliwie się od niej uzależnił, lecz nadal nie miał najmniejszego pojęcia, co ona czuje do niego.

Oczywiście wiedziała to, czego nie mógł wiedzieć on: jej pobyt w miasteczku dobiegał końca i już niedługo zamierzała opuścić to miejsce. Zanim jednak ten czas nastanie, ona i rzeźnik zostaną kochankami.

Pewnego popołudnia wróciła z miasta i poszła prosto do chłodni. Kropelki potu pokryły jej górną wargę. Zapach, który roztaczała, przypominał aromat dojrzałego melona, który czeka, aż posmakuje się jego soków. Tak przynajmniej wydawało się rzeźnikowi.

To, co rozpoczęło się tego ranka na polu przy zarżniętej świni, teraz było bliskie spełnienia. W długie, parne, ponure lato wszystko dusiło się jak w rondlu, którego zawartość była bliższa wykipienia.

Oczy kobiety paliły go jak żelazo, którym wypala się piętno. Podeszła do niego nieśpiesznie i rozmyślnie. Miał wrażenie, jakby poruszała się w zwolnionym tempie.

A potem go pocałowała. Jej usta rozchyliły się, szukając jego warg, po czym spotkały się, sprawiając, że drżenie ziemi, które wstrząsnęło całym regionem, wydawało się mu ledwie pękającymi bąbelkami. Fala podniecenia przebiegła po jego nogach, a następnie po plecach i ramionach. Czuł ją we włosach, które wydawały się mieć własne życie i osobowość i pulsowały z tym samym poczuciem naglącej potrzeby, która elektryzowała jego całe ciało. Potężna zapora runęła. Otworzyła drogę ogromnemu i obezwładniającemu pożądaniu, które czuł do Fernandy Ponderosy, a które wzbierało i dojrzewało od pierwszego dnia, kiedy ją zobaczył. Otworzyła drogę nienasyconemu pożądaniu.

Ręce kobiety przemierzały krajobraz jego ciała. Czuła się jak kartograf, opisujący nieznaną terytorium. Ciało Prima było twarde, miękło jednak natychmiast, kiedy pieściła je przez białe płótno kombinezonu. Pragnęła obracać ten kombinezon jak skórę pomarańczy i sprawdzić, co się pod nim znajduje. Poczul się nagle wolny od ograniczeń materiału. Powietrze dostało się do środka.

Jego ręce były pełne jej. Nigdy jeszcze nie czuł się tak, jak teraz. Zdał sobie sprawę, że życie jest zbyt krótkie, by poczuł jej ciało tak, jak pragnął. Wiedział również, że w tej jednej chwili przeżył całe swoje życie. Reszta nagle zaczęła się wydawać zbyteczna. Czy nie mógłby teraz umrzeć, właśnie tak?

Duchy wszystkich kielbas, które wytworzył w tym pomieszczeniu, zdawały mu się przypatrywać swoimi czujnymi oczami. Wszystkie lśniące marmurowe powierzchnie, wszystkie narzędzia ze stali nierdzewnej odbijały ten obraz.

Primo Castorini poczul, że odzywa się jego męska duma. Pochwycił Fernandę Ponderosę w ramiona. Nie czuł jej ciężaru, jego ręce były silne. Trzymał kobietę marzeń wysoko, napinając mięśnie przedramion, które były duże i twarde od rozbierania tusz.

Wtedy jednak powstrzymała go ruchem ręki.

- Nie tutaj, nie teraz, nie tak - powiedziała, ciężko dysząc. - Przyjdź do mnie w nocy.

Obchodząc się z nią jak z jajkiem, postawił Fernandę na ziemi. Nie mogła wiedzieć, ile kosztował go ten gest. Zrobił krok do tyłu, wyprostowany, patrząc jej głęboko w oczy, jakby szukał czegoś, czego nie mógł znaleźć gdzie indziej. Czy naprawdę musiał ją puścić?

Tak. Raz jeszcze musiał znieść męczarnię patrzenia na to, jak od niego odchodzi, ale przyrzekł sobie, że będzie to już ostatni raz. Po tej nocy już nigdy go nie opuści, nigdy, co do



tego miał pewność. Zamknął za wychodzącą drzwi, po czym wydał z siebie ryk niczym rasowy buhaj.

Próbował się pozbierać, ale na próżno. W końcu ją miał. A raczej - będzie miał. Dzięki obietnicy tego, co nastąpi później, mógł poradzić sobie teraz z własną frustracją. Jak tu jednak przeczekać te kilka godzin? O której powinien do niej wyjść? Czy to ma jakieś znaczenie? Była czwarta. Wyjdzie o siódmej. Sto osiemdziesiąt minut.

Poszedł się wykapać. Mimo upału chciał zanurzyć się w ciepłej wodzie. Pozwolił jej lecieć, tak że kiedy sam wszedł do wanny, przelała się przez jej krawędź i rozprysnęła na wyka-felkowanej podłodze. Była gorąca. Ale to dobrze. Uspokoi go. Leżał, pozwalając wodzie dotrzeć do każdego zakątka ciała. Łazienkę zasnęła para. Z każdym małym poruszeniem poza krawędź łagodnie wyciekało więcej wody, rozpryskując się jak fontanna i sycząc na posadzce. W oddali dał się słyszeć odgłos pioruna.

Nie dopuszczał do siebie myśli, że Fernanda może go odprawić. Po prostu - takiej możliwości w ogóle nie brał pod uwagę. Gdyby tak się stało, z pewnością by go to zniszczyło. Nie wpuścił tej myśli do głowy, a potem jeszcze zamknął ją, by mieć pewność, że się do niej nie dostanie.

Wiedział, że musi to zrobić. Wiedział, że mu się uda. Ta świadomość przyniosła mu ulgę, chociaż nie robił tego od tygodni. Im więcej, tym lepiej. Trzeba zachować coś w rezerwie. Otworzył loch, w którym mieszkały jego lęki, i wraz z groźbą odrzucenia, wrzucił do niego strach przed porażką. Potem znów zamknął drzwi, tym razem jednak wyrzucił także klucz.

Pozostawał w wodzie, aż jego skóra zmarszczyła się jak suszona śliwka i wtedy wiedział, że już czas, by wyjść. Ogolił się, wyperfumował i ubrał w najlepsze rzeczy. Potem poczekał do momentu, w którym mógł już do niej wyruszyć.

## Rozdział trzeci

Tymczasem w Montebufo, gdzie nawet późnym popołudniem ziemia skwierczała jak rozgrzana patelnia, Amilcare Croce czytał, leżąc w cieniu wiśni. W ogóle nie zmieniał teraz szortów i koszulki. To było jedyne ubranie, zapewniające mu jako taki chłód. Było niesamowicie cicho. Ucichły nawet cykady. Chrupiące pod nogami trupy jaszczurek zaśmiecały zbrzoźwiałą trawę.

Doktor spędzał obecnie większość czasu, czytając prasę specjalistyczną dostarczaną mu nieregularnie przez Carmela Sorbilla, listonosza, który konsekwentnie zaniedbywał swoje obowiązki, przedkładając nad pracę drzemkę za kontuarem urzędu pocztowego.

Upał powstrzymał lekarza od biegania. Czuł się bez tego jak turysta bez mapy. Starał się trzymać swoją panią, której nie widział od wieków, z dala od swoich myśli, wypełniając głowę nowymi i niezwykłymi teoriami z dziedziny medycyny. Ale oczywiście nigdy nie zastosuje żadnej w praktyce. Żył w teorii. Kochał w teorii. Kiedy leżał na plecach, patrząc w niebo, którego wściekłe kolory świadczyły o tym, że zanoszą się na najbardziej przerażającą burzę w historii regionu, uświadomił sobie, że jego życie nie było nigdy niczym więcej, jak ćwiczeniem teoretycznym. To odkrycie było dla niego szokiem.

W rzeczywistości paraliżowała go rozpacz. Pomyśleć tylko, że kiedyś zapowiadał się tak dobrze. W czasach szkolnych wszyscy spodziewali się po nim wielkich dokonań. Zgarniał wszystkie nagrody. Wszyscy też byli pewni, że podbije świat. Jego stopy miały kroczyć drogą chwały. I co? Jak wszystko mogło pójść tak źle? Nic nie osiągnął. Nie był nawet w stanie kochać. Omal nie oszalał z wściekłości. Zniszczył sobie życie. Było zupełnie nieudane.

Otrząsnął się z zadumy, rozgrzany jak niebo. Zerwał się na równe nogi, rzucił czasopiśmo w żywopłot, zostawił wszystko tak, jak było, radio grające w kuchni, drzwi otwarte, i po prostu sobie poszedł. Nie zatrzymał się nawet, by włożyć buty.

Asfalt parzył go w stopy jak rozgrzane węgle, a jego skóra przylepiała się z sykiem do podłoża. Przeklinając, podskoczył, a potem zaczął biec, sadząc długie susy i opadając na palce, by zredukować do minimum pieczenie. Nawet nie wiedział, dokąd biegnie. Zwyczajnie i beznamyślnie stawiał jedną stopę za drugą. Bez zastanowienia. Bez planu. Czy po prostu zamierzał biec cały czas? Zostawić wszystko bez słowa i nigdy już tu nie wrócić?

Czuł gorące powietrze przywierające do twarzy. Jego włosy skwierczały. Zaczął biec szybciej. Mimo upału pędził dalej, jak jeszcze nigdy dotąd. Gniew palił go od środka bardziej

niż wściekle słońce i wypełniał nieskończonymi zapasami energii, która sączyła w jego długie nogi ożywcze soki. Ludzie, którzy go widzieli, uznawali to za niezwykle. Jego najbliższy sąsiad, Giuseppe Mormile, patrzył, jak mknie obok niego niczym ognista kometa i sam pobiegł do żony, Immacolaty, która bez entuzjazmu zajmowała się tym, co zostało z jej pola sałaty.

- Popatrz - powiedział po prostu, pokazując na doktora, który wzbijał chmury kurzu na drodze. Słońce nad nim zmieniło się z czerwonego w purpurowe. To był złowieszczy znak.

Immacolata nie rozumiała. W jej odczuciu ktoś przestawił na wyższe obroty mechanizm zegarowy świata. Lubiła powolny bieg rzeczy. Podczas gdy wszystko wokół niej pędziło na łeb na szyję, pochylała się nad swoją sałatą, równie szybka jak ślimak, posuwający się po liściu. W świecie, który oszalał, tych dwoje zachowało własne tempo życia.

Doktor biegł dalej. Nie myślał o tym, dokąd. Po prostu - zaufał swoim nogom. Poniosą go tam, gdzie trzeba. Pobiegnie z nimi. Zgodził się być ich niewolnikiem. Powietrze dostawało się do jego płuc i opuszczało je z tak doskonałą regularnością, że miał wrażenie, jakby oddychał po raz pierwszy w życiu. Wzmocniło go to i dodało szybkości jego nogom, nakłaniając do dalszego biegu.

Dopiero, kiedy wbiegł na ulicę, przy której mieszkała Concetta Crocetta, zrozumiał, co było celem jego wyprawy. Mimo piekącego gorąca, nawet się nie zasapał. Biegnąc, zostawił za sobą swój wiek: wyglądał teraz nie na pięćdziesiąt, a na dwadzieścia pięć lat. Jego skóra nabrała blasku młodości i zdrowia. A uśmiech rozjaśnił mu twarz.

Pod parasolami przy Via Alfieri zdążył się już zebrać tłum, by świętować razem z lekarzem i pielęgniarką. Wszyscy zaczęli się śmiać i klaskać. Nagle, jak spod ziemi, wyrosła orkiestra dęta w pełnym umundurowaniu. Muzycy pocili się, grając wiązanek popularnych melodii, podczas gdy mażoretki wymachiwały pałeczkami.

Do doktora Croce nic jednak nie docierało. Dla niego świat stał się nagle dziwnie cichy. Czuł tylko pulsowanie krwi w uszach, słyszał odważny głos własnego serca, wykrzykujący imię Concetty Crocetty.

Moja pani nie była świadoma karnawału, który rozpoczął się na dworze. Przed chwilą nakarmiła mnie w stajni owsem, a teraz pałaszowała w kuchni lody. Jej włosy były upięte w kok. Miała na sobie tylko jedwabną halkę, ale nawet w niej było jej za gorąco.

Doktor zachowywał się jak w transie. Jego ciało wydawało się działać bez jakichkolwiek komend płynących z mózgu. Nawet gdyby chciał (a nie chciał), nie mógłby zatrzymać tego, co

jego ciało rozpoczęło. W kościach, krwi, komórkach i ścięgnach zgromadzone były wspomnienia wszystkich działań, jakie powinien był, a nie przedsięwziął przez minione dwadzieścia lat.

Bez pukania otworzył tylne drzwi, zupełnie jakby to był jego dom, i wszedł do niewielkiej kuchni. Nigdy jeszcze tu nie był. A jednak wysoka, nieznacznie zgarbiona postać doktora, stojącego w drzwiach nie zaskoczyła pielęgniarki. Żadne zresztą nie czuło najmniejszego skrępowania, żadne się nie wahało. Wnikliwy obserwator zauważyłby, że Concetta Crocetta włożyła łyżeczkę do kubka z lodami i postawiła go na stole.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie głęboko w oczy. Tęsknili za tym przez tyle lat. Zdawali się upajać swoimi spojrzeniami, zapuszczając się w ukryte, sekretne zakątki. Instynkt podpowiadał im wszystko.

Wydawało się jasne, że doktor po prostu wejdzie do jej domu, że ona przestanie jeść lody, że nie będzie czuła zdziwienia. Ale ta chwila, ostatnia ze starych chwil, punkt przecięcia nowego i starego, nie mogła trwać wiecznie i oczywiście nikt by tego nie chciał. Doktor przemierzył kuchnię i stanął przed Concettą Crocettą, nie jako lekarz, ale jako mężczyzna.

## Rozdział czwarty

W kuchni domu przy Via Alfieri 37 czas stanął w miejscu, gdy lekarz i pielęgniarka, nie zważając na nadciągającą burzę dążyli do zaspokojenia tłumionej przez dwadzieścia lat namiętności.

Powietrze było naelektryzowane. Napięcie rosło. Wszyscy siedzieli jak na szpilkach. Burza z pewnością przyniesie chłód i tak bardzo pożądane opady. Mieszkańcy w wyobraźni biegali już nago po deszczu, czując zbawienne lodowate krople, uderzające o ich ciała.

Zaczęło się od trzasku pioruna. Zapowiedź, którą Primo Castorini słyszał, leżąc w wannie. Brzmiało to jak trzask pioruna, lecz wielu utrzymywało, że pod stopami pęka im ziemia. Grzmot sprawił, że na pogórzu zaczęły wyć wilki. Huk przetaczał się po otoczonej górami kotlinie i rozbrzmiewał ponownie na równinie, a za nim, jeden za drugim, podążały pomniejsze grzmoty, łącząc się w monolit. Nastąpił przerażający harmider. Na łąkach ryczały krowy: niskie, upiorne muczenie przejmowało dreszczem każdego, kto je usłyszał.

Grzmot dudnił dalej. Tak długo, że mieszkańcy regionu zaczęli się bać, iż skończy się tylko na tym, że nie będzie nic więcej. Żadnej burzy. Żadnego deszczu. I żadnego końca upału.

Później, o wiele później, kiedy już prawie straciliśmy nadzieję, błyskawica przecięła niebo. Zrobiło się białe i takie już pozostało.

W oślepiającym blasku Primo Castorini wyszedł ze Szczęśliwej Świnki i skierował się w stronę swojego rodzinnego domu. Nie będzie się już powstrzymywał. Szedł do Fernandy Ponderosy, szedł, by ją osiąść. Maszerował zdecydowanym krokiem. Ci, którzy go widzieli, nie mieli wątpliwości, dokąd idzie i co zamierza zrobić, gdy dotrze już na miejsce.

Ta sama błyskawica, która towarzyszyła rzeźnikowi, kiedy wyruszał ze swoją misją, odpowiadała za dwa niewiarygodne cuda. Wydarzenia, których nikt nie był w stanie przewidzieć.

Obudziła śpiących. Najpierw Fidelia Castoriniego, który w jaskini, wysoko w górach, przez dziewięć miesięcy od śmierci Silwany leżał pogrążony w śpiączce. Otworzył oczy i popatrzył wokół siebie w oślepiającą biel. Jego umysł był ociężały. Nie wiedział, gdzie się znajduje ani dlaczego. Nie pamiętał o nieszczęściu, które go tu przygnało. Podłoże było twarde, kamienne. Usiadł. Ciało miał sztywne. Nie poznawał tego miejsca. Światło wskazało mu drogę. Ostrożnie wstał i kuśtykając, wyszedł z jaskini. Na zewnątrz uświadomił sobie, gdzie jest: prawie na szczycie najwyższej góry w okolicy. W bieli widział całą równinę, która ciągnęła się przez wiele kilometrów. Jego wzrok powędrował do czegoś w oddali. Dom. Musi iść do domu.

Potężny błysk obudził również drugiego śpiącego. Mojego Arcadia. Moją prawdziwą miłość. Kiedy o tym myślę, łzy szczęścia wypełniają mi oczy. Stał się na powrót żywy. Błyskawica sięgnęła aż do Spoleto, wpadła przez okno, i uderzyła w zakurzoną maszynę, do której podłączony był mój ukochany, wzbijając w powietrze iskry. Impuls elektryczny przeszedł przez druty, sondy, dotarł do jego biednego, niesprawnego ciała i spowodował krótkie spięcie w mózgu, które w końcu przywróciło go do życia. Smuga dymu uniosła się z czubka głowy hodowcy oliwek i powietrze na oddziale wypełniło się smrodem palonej gumy.

Usiadł wyprostowany na łóżku i powyrywał podłączone do swojego ciała przewody oraz rurki. Chwila, o którą modlił się od tak dawna, nadeszła nagle i bez ostrzeżenia. Gdyby teraz okazało się, że śni, chyba trafiłby go szlag. Podczas gdy pozostali pacjenci trzęśli się i bełkotali pod kołdrami ze strachu, mój bohaterski Arcadio wstał z łóżka i korytarzem pobiegł prosto do Fernandy Ponderosy. Tak, muszę z przykrością stwierdzić, że nawet wtedy, w tym doniosłym momencie, to nie myśli o mnie wypełniały jego umysł.

Mając na sobie jedynie spłowiałą piżamę, wypadł na dziedziniec, dobiegł do motoroweru, który zaparkowała tam Carlotta Bolletta, odpalił go, i pojechał w stronę domu. Nigdy jesz-

cze nie prowadził takiego pojazdu, teraz jednak nie miało to znaczenia. Stać go było na wszystko. Na dziedzińcu zostawił wpatrującą się w niego szeroko otwartymi oczami pielęgniarkę.

Grzmot przetaczał się z każdym krokiem Prima Castoriniego. Zupełnie, jakby to on go wywoływał. Na dojście przeznaczył godzinę. Zamiast jednak iść wolno, jego nogi wciąż przyspieszały i nie mógł ich powstrzymać. Drogę, której pokonanie zajmowało mu w normalnych okolicznościach dziesięć minut, dziś przebył w pięć. W rezultacie przyszedł za wcześnie. Prawda jednak była taka, że nie mógł już czekać ani chwili dłużej. Jakakolwiek sugestia, że mógł, była niedorzeczna.

Prawie biegiem przemierzył podwórko, na którym w oczekiwaniu na deszcz leżało osiem nieruchomych żółwi. Biedactwa nie mogły się już doczekać, kiedy poczują krople bębniące o pancerze. Wyczują je wdzierające się przez suche rowki na ich pomarszczonych szyjach, przywracające do życia żółwie głowy i pokryte łuskami nóżki.

Włosy rzeźnika zachowywały się jak elektroprzewodniki. Przyciągając powietrze, wydawały się bardziej żywe niż kiedykolwiek. A może działa się tak za sprawą szalejących w nim hormonów? Jakakolwiek była tego przyczyna, włosy Prima przygotowane były na nadchodzącą noc. Tak samo, jak reszta jego ciała. Był większy niż zazwyczaj. Wydawało się, że jest wyższy i cięższy. Guziki koszuli napięły się. Tak samo - szwy spodni. Ciało usiłowało pozbyć się ubrania, tak jak gady zrzucają skórę. Dochodził do siebie po poprzednich tygodniach, w czasie których w pewnym sensie się skurczył. Teraz był ogromny.

Jego wielka postać obrysowywana była światłem wpadającym zza drzwi. Oscar i jej dzieci ukryły się w komodzie. Rolnica z trzepotem latała wokół żyrandola, rzucając na sufit swój monstrialny cień.

Przybył za wcześnie i Fernanda Ponderosa nie była jeszcze gotowa. Wciąż leżała w wannie, wyciskając na siebie wodę z gąbki. Miała włosy upięte w kok; cienkie kosmyki uciekły z niego, wpadając do spienionej wody, sięgającej co jakiś czas krawędzi wanny, jak fale przyływu. Usłyszała, że drzwi otwierają się i zamykają. Wszedł. Poczula dreszcz. Słyszała, jak człapie po domu niczym ślepy niedźwiedź, uderzając o meble, szukając jej, węsząc. Ona również już nie mogła się doczekać, dalej jednak spokojnie się kąpała, unosząc po kolei nogi i przykładając spienioną gąbkę do swojej srebrzystej skóry. Ciężkie kroki Prima rozlegały się już na schodach. Nadchodził. Czowała wślizgującą się w nią spiętrzoną falę wody.

Migoczący płomień świecy doprowadził go w końcu do drzwi łazienki, otwartych na tyle szeroko, by mógł zajrzeć do środka. Gdy stanął, szerokie ramiona wypełniły sobą całą przestrzeń. Chociaż udawała, że go nie widzi, chciała, by na nią patrzył.

Zanurzała gąbkę, a potem unosiła ją wysoko ponad siebie, pozwalając, by nadmiar wody lał się w dół po jej przedramionach, po czym ją wyciskała. Woda obmywała jej błyszczące ciało: szyję, cudowne piersi, to wynurzające się spod powierzchni, to chowające pod nią. Nic, poza szmerem wody, nie istniało teraz na świecie.

Kiedy tak się przyglądał, jego usta stały się suche. Zapomniał oddychać. Czuł się jak wyciskana przez nią gąbka. Wszedł do łazienki. Jego ciało nie mogło już dłużej wytrzymać, nie mogło już czekać. Zapach mężczyzny przedarł się przez aromaty olejku do kąpieli i maści: uwodzicielska woń feromonów, tęsknoty i pożądania. Ukląkł na posadzce przed wanną. Pochylił się, wyjmując z wody kosmyki włosów i umieszczając je w koku na jej głowie. Woda przemoczyła mu mankiety koszuli, wylała się z wanny na jego pierś i przeniknęła przez kolana spodni. Był cały mokry, lecz nie zwracał na to uwagi. Kosmyki przeciwstawiały się jego wysiłkom i spadały z powrotem do wody.

Omiótł ją wygłodniałym spojrzeniem. Ręce podążyły za oczami. Mokre ciało Fernandy emanowało zmysłowością. Leżała z zamkniętymi oczami i pozwalała się dotykać. W przyszłości nie będzie już chciał żadnej innej kobiety. Pieścił ją pod wodą. Instynktownie wyczuwał miejsca, których pieszczenie sprawiało jej największą przyjemność. Oddech kobiety stawał się coraz cięższy i szybszy, jemu też z ledwością udawało się utrzymywać w ryzach.

Pioruny trzęsły domem. Błyskawice barwiły niebo na zielono, żółto i czerwono. Burza była dokładnie nad nimi. Primo Castorini wstał. W kolorowym blasku, który rozświetlał łazienkę, nareszcie spotkały się ich oczy. Czy ryk, który Primo usłyszał, towarzyszył uderzeniu pioruna, czy pochodził z jakiegoś miejsca głęboko w nim? Trudno było orzec.

Jednym ruchem zdarł z siebie przemoczone ubranie. Odlepiło się jak papier. Wiedziało, że nie ma się co sprzeciwiać. Koszula, spodnie, slipy, nawet - o dziwo! - skarpetki i buty. Obyło się bez podskakiwania, szarpaniny, przekleństw, tarzania się po podłodze i skrępowania. Kiedy stanął nagi, czarne oczy Fernandy Ponderosy momentalnie się rozszerzyły. W jednej chwili stała się całkowicie bezwolna. Poczula, że mężczyzna wyciąga ją z wanny. Afrodyta wynurzająca się z fal. Woda spływała z jej ciała na posadzkę.

Krople deszczu wielkości kurzych jaj zadudniły o dach. W końcu zaczęło padać. I cóż to był za deszcz!

Primo Castorini zaniósł Fernandę Ponderosę do sypialni.

## Rozdział piąty

Odbicie wijących się ciał Fernandy Ponderosy i Prima Castoriniego osiągnęło ogromne rozmiary i padło przez okno sypialni na ciągle zmieniający się ekran groźnego nieba.

Na dworze lało jak z cebra. Krople deszczu syczały na spieczonej ziemi, parując niemal natychmiast. Każdy, kto był na tyle nierozsądny, by wyjść na zewnątrz, doznawał uderzeń, które zostawiały nieścieralne ślady na skórze. Zdecydowanie nie był to dobrotliwy deszczyk, w którym niektórzy mieszkańcy chcieli tańczyć nago.

Tymczasem żywe trupy, przebudzone przez białe światło, zmierzały w stronę domu. Pierwszy pojawił się mój ukochany. Zakrawało na cud, że trafił tu bez okularów. W motorowce skończyła się benzyna, ostatnie trzy kilometry pokonał więc na piechotę. Wielkie krople deszczu, przebijając cienką flanelową piżamę, uderzały o jego ciało, ale zdawał się tego nie zauważać. Nie był świadom niczego z wyjątkiem myśli o ukochanej, która bezustannie kazała mu iść naprzód. Zżerała go zazdrość. Nie odstępowała go na krok jak przekarmiony cień, sącząc mu do uszu truciznę, szepcząc tak głośno, że zagłuszała wycie burzy. Cień podpowiadał mu, że tej nocy musi popełnić morderstwo.

Fidelio Castorini poruszał się wolno. Jego ciało ucierpiało podczas długiego snu w jaskini. Było teraz ciałem starego człowieka. Górskie ścieżki i przełęcze stały się zdradzieckie przez deszcz, wiele razy zatem upadał, boleśnie się raniąc.

Arcadio Carnabuci z powodu deszczu i braku okularów nie widział prawie nic. Był prawie przekonany, że ulewa jest częścią spisku zawiązanego przeciw niemu. Ta upiorna noc widziana jego oczami była jeszcze większym koszmarem. Potworne kształty wynurzały się z ciemności, przerażając go, po czym, w tajemniczy sposób, znikwały. Dodatkowo zdezorientowany był, gdyż jego chata zniknęła z powierzchni ziemi. Po kilku okrążeniach, udało mu się w końcu znaleźć domostwo Castorinich, pogrążone w całkowitej ciemności pomiędzy jedną błyskawicą a drugą.

Kiedy chwiejnym krokiem zmierzał w stronę domu, złowrogi cień osiadł na jego ramieniu, radząc mu, by się uzbroił. Morderca potrzebuje przecież broni.

- Jeśli rzeźnik pojawi się tutaj tej nocy, zginie -powiedział mu chropawy głos.



Skinąwszy głową, zupełnie jak zahipnotyzowany, Arcadio chwycił duży kamień, o który potknął się na podwórzu. Tak naprawdę była to żółwica Olga, która nawadniała się akurat w kałuży. Dygocząc, schowała głowę, nóżki i ogonek do skorupy, modląc się o bezpieczeństwo swoich dzieci.

Błyskawica rozświetliła wszystko blaskiem żółtym jak gaz musztardowy. W tym oślepiającym świetle Arcadio Carnabuci dostrzegł rzeźnika, idącego w stronę domu.

- Bingo! - zawołał głos.

Spełniły się najgorsze obawy hodowcy oliwek. Przez cały czas, gdy leżał w szpitalu, bał się tego podstępnego uwodziciela. Miał nadzieję, że pod jego nieobecność sprawy nie zajdą zbyt daleko. Rzeźnik musiał umrzeć. Tego jednego był teraz pewien. Nie miał innego wyjścia. Podbiegł i uderzył go żółwiem w głowę. Mężczyzna wydarł się wniebogłosy. W tym wrzasku, głośniejszym od wszystkiego, co nastąpiło tej hałaśliwej nocy, zawarty został cały potworny ból wynikający z tego, że nagle przypomniał sobie wszystko.

Arcadio Carnabuci również chciał krzyknąć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego ust. Stracił na zawsze głos. To była jedyna pozostałość po jego chorobie. Nigdy już nie wypowie słowa, nigdy też już nie zaśpiewa. Rzeźnik padł w ramiona Arcadia, sprawiając, że ten znów chciał zakrzyknąć. A może cały czas próbował krzyczeć. Kto to wie?

Piorun uderzył raz jeszcze. W zielonkawym, jaskrawym świetle Arcadio zobaczył, że się pomylił. To nie był wcale rzeźnik. Chociaż z tyłu wyglądał jak on, z przodu był zupełnie inny. Ten człowiek miał bujną, sięgającą kolan brodę i burzę włosów. Wprawdzie Primo też miał burzę włosów, ale niewielką - w porównaniu z nim. A z jego ust, z których sączyła się teraz strużka krwi, sterczały wielkie jak kły zębiska, które wzbudziły w Arcadiu większe przerażenie niż cokolwiek innego.

Fernanda Ponderosa i Primo Castorini, zbierający siły już po siódmym numerku, usłyszeli krzyk niosący się po nocy. Primo nie zareagował, ale Fernanda wyczuła tragedię i ubrała się pospiesznie mimo jego wysiłków, by ją przed tym powstrzymać. Nie pozostawało mu nic innego, jak otworzyć szafę i ubrać się w rzeczy brata.

Deszcz nagle ustał, pozostawiając powietrze świeżym i chłodnym. Za górami rozległ się grzmot i niebo rozjaśniło się tak, jakby stał się dzień.

Zdyszani kochankowie pojawili się na miejscu jatki dokładnie w tej samej chwili, kiedy wgalopowałam na podwórko ze swoją panią na grzbiecie. Za nami rozległy się syreny, ob-

wieszczające przyjazd karabinierów i karetki prowadzonej przez Irinę Biancardi, w towarzystwie Gianluigiego Pupini.

Mój ukochany, wydający wciąż niemy krzyk, wyglądał na obłąkanego, zwłaszcza wtedy, gdy aż za wyraźnie zobaczył tę, którą uparcie nazywał swoją przyszłą żoną. Była w towarzystwie aż za bardzo żywego rzeźnika.

- Fidelio! - wykrzyknął Primo Castorini, rozpoznając brata, mimo jego wyglądu włóczęgi, i rzucając się na kolana obok niego.

- Silvana - wyszeptał Fidelio na widok Fernandy Ponderosy. Dodał jeszcze: - Kocham cię - po czym skonał.

Umarła również żółwica Olga, osierocając siedmioro dzieci.

Podwórko nagle zaroilo się od ludzi. Wieści rozchodzą się u nas szybciej niż gdzie indziej. Niektórzy mieli na sobie piżamy i nocne koszule, większość jednak z powodu upałów ubrana była bardzo lekko. Morderstwo jednoczy zwykle ludzi, zwłaszcza gdy zostaje popełnione w sąsiedztwie. Wówczas pomiędzy sąsiadami, którzy na co dzień chętnie by się pozabijali, pojawia się poczucie wspólnoty.

- Arcadio Carnabuci mordercą! Kto by pomyślał, prawda?

- Zawsze wydawał mi się dziwny.

- Możemy mówić o szczęściu, że to nie na nas trafiło, sąsiedzie.

- Bogu dzięki!

Kiedy mój ukochany został zakuty w kajdanki, zapanowało poruszenie. Staralam się do niego podejść, by dodać mu otuchy, ale ja również zostałam skrepowana, tyle że powrozem. Chociaż moje oczy wpatrywały się w niego wzrokiem pełnym miłości, on patrzył tylko na Fernandę Ponderosę, która z kolei patrzyła tylko na Prima Castoriniego. Natomiast Speranza Patti, ubrana w stanowczo zbyt frywolną, jak na kobietę w jej wieku, koszulę nocną, spoglądała maślanymi oczami na moje kochanie i gdybym nie była uwiązana, z pewnością ugryzłabym ją w ten tłusty zadek.

Podczas gdy ciało Fidelia Castoriniego, który wrócił jedynie po ponowną śmierć, zostało umieszczone w ambulansie, mojego ukochanego Arcadia dwaj młodzi karabinierzy w opiętych spodniach z szerokimi czerwonymi lampasami załadowali do policyjnej furgonetki. Drzwi zatrzasnęły się za nim i teraz świat oglądać mógł jedynie przez kraty w malutkim okienku. Właśnie ukazała się w nim twarz Speranzy Patti, która wypowiedziała słowa:

- Będę na ciebie czekała. Choćby całe życie. Gdybym tylko mogła zerwać się z tego powrozu.

## Rozdział szósty

Burza przywróciła regionowi równowagę. Słońce, jak kiedyś, stało się łagodne i zaczęło przygotowywać się do zimowego odpoczynku. Dudnienie pod ziemią uspokoiło się i nie musieliśmy już bać się trzęsienia ziemi. Trawa znów była zielona. Zwierzęta nawodniły się. Owce zrzuciły swoje szare futra, ukazując puchatą biel pod spodem. Kozy i krowy ponownie zaczęły dawać mleko. Serowarzy, jak region długi i szeroki, zaczęli robić sery. Krety zaczęły kopać. Szczury - gryźć. Pszczoły - buczeć. Ptaki - świergotać. Woda płynęła rzekami, strumieniami i wodospadami. Jezioro zapełniło się i znów mogły po nim pływać łabędzie. Pstrągi wystawiły gumowate pyszczki, chwytając muchy, które znowu zaczęły latać.

Mieszkańcy miasteczka mogli zająć się swoimi zwykłymi sprawami. Wszyscy, z wyjątkiem Luigiego Bordiniego. Rankiem znaleziono go martwego, z głową w misce gruszkowego ciasta, które miało być smakowitym prezentem dla Fernandy Ponderosy. Susanna starannie unikała wzroku męża, utrzymując, że został rażony piorunem, Melchiore jednak miał co do tego wątpliwości. Niedługo potem w piekarni zostały zamontowane najnowocześniejsze elektryczne piece, a malarze przystąpili do pracy nad nowym szyldem. „Piekarnia Susanny Bordino” - głosił napis. Zupełnie jakby jej poprzedni właściciel nigdy nie istniał. Już wkrótce jednak miało się okazać, że to morderstwo Susanna popełniła zupełnie niepotrzebnie.

Ciągnęłam dwukólkę, przystrojoną białymi wstążkami i pąkami róż, w której siedzieli zaczerwienieni z emocji nowożeńcy - Concetta i Amilcare Croce. Jechali do swojego domu przy Via Alfieri. W drodze minęliśmy Sancia, muła rodziny Castorini, który stał na postronku przed Szczęśliwą Świnką, chrupiąc liście świeżej zielonej paproci. Popatrzył na mnie przeciągle i nagle... zakręciło mi się w głowie. Moje serce przepełniła miłość tak wielka, jakiej dotąd nie zaznałam. W tej krótkiej chwili zrozumiałam wszystko. Nigdy nie kochałam Arcadia Carnabuciego. To była straszliwa pomyłka. To Sancia darzyłam uczuciem, a szczęśliwie z jego spojrzenia wywnioskowałam, że on to uczucie odwzajemnia.

Odwróciwszy wzrok od nowego ukochanego, zauważyłam, że biblioteka miejska jest zamknięta. Speranza Patti pojechała w ślad za Arcadiem Carnabucim do stolicy regionu, gdzie zamierzała wykorzystać swoje kontakty w administracji państwowej i zwrócić się z petycją o

uwolnienie więźnia z *carcere*. Dopiero tu Arcadio zrozumiał swą fatalną pomyłkę. To nie Fernanda Ponderosa była kobietą z jego snów. Była nią Speranza Patti. Musiały mu się pomylić imiona. Ależ był z niego głupiec. Kompletny i beznadziejny głupiec.

Tego dnia Fernanda Ponderosa wcale nie przysłała do pracy. Kiedy Primo Castorini podniósł rolety, ujrzał na zewnątrz długą kolejkę. Zakłady Mięsne Pucilla zostały zniszczone przez uderzenie pioruna i teraz, kiedy temperatura opadła, wszyscy w regionie nabrali ochoty na szynkę. Primo obsługiwał klientów, ale bez reszty pochłonięty był myślami o Fernandzie. Czuł się winny, wiedząc, że powinno mu być przykro z powodu śmierci brata, ale usprawiedliwiał się, że już go raz oplakiwał. Wciąż czuł zapach Fernandy na swojej skórze. Jakiś mikroskopijny bąbelek aromatu, który wytworzyli razem, gdzieś w nim osiadł i jego opary docierały teraz do nosa. Jęczał głośno na wspomnienie rozkoszy, jaką przeżył, a kupujący szynki klienci kiwali z pobłażaniem głowami, mrugali do siebie i dawali sobie kuksańce. Bez ustanku rozpamiętywał każdą chwilę tej nocy. Powracał myślami do każdego wspaniałego orgazmu. Nie mógł przestać się uśmiechać i - co ważniejsze - wcale nie chciał przestawać się uśmiechać.

Potem jednak dopadł go nagły strach. Gdzie ona się podziewa? Ogarnęła go panika. Nie umiał wyjaśnić, dlaczego. Potem zrozumiał, że to miłość. Nigdy czegoś takiego nie czuł. Miał ochotę śpiewać. Bez przerwy spoglądał na zegarek. Mogła przyjść w każdej chwili. Ale nie przysłała.

Wiedział, że musi do niej iść, i to zaraz. Był głupi, że wcześniej tego nie zrobił. Zmarnował całą godzinę, którą przecież mógł spędzić z nią. Godzinę, która nigdy nie wróci. Był na siebie wściekły. W końcu nie wytrzymał i po prostu wyszedł, zostawiając klientów samych. Mieszkańcy miasteczka przez chwilę patrzyli po sobie ze zdumieniem, a potem zaczęli obsługiwać się sami. Szajka Nellino wypełniła szynkami całą ciężarówkę.

Droga do rodzinnego domu zajęła rzeźnikowi pięć minut. I było to najdłuższe pięć minut w jego życiu. Oczywiście, że się bał. Kochankowie żyją w ciągłym strachu. Tak właśnie to działa. Czuł również straszliwą niecierpliwość. Chciał być z nią. Tulić ją. Zanurzyć się w niej. Wciągać jej zapach. Całować ją w nieskończoność. Pieścić jej ciało. Zatonąć. Potem znów poczuł strach, tym razem większy od poprzedniego. Wyjechała! To dlatego nie przysłała do sklepu. Rzuciła go. Zniknęła. I już nigdy jej nie zobaczy. Ogarnęło go przerażenie. Jak on sobie z tym poradzi?

Dotarł do domu biegiem. Na podwórku ujrzał furgonetkę z firmy przeprowadzkowej. Mężczyźni zapełniali ją głowami jednorożców, żyrandolami, posągami, szafkowymi zegarami,

bananowcami, dębowymi kuframi i innymi tego rodzaju rzeczami. Widział, ale nie przyjmował tego do wiadomości. Szukał jej wygłodniałym wzrokiem, a panika podnosiła się w nim jak przypływ. Odeszła. Naprawdę wyjechała.

Nie. Była tutaj. Ciągle tu jeszcze była. Nie wyjechała. Całe szczęście. Odetchnął z ulgą.

Tego ranka Fernanda Ponderosa ostatecznie pożegnała się z Silvaną i chociaż miała nadzieję, że siostra powie jej choć jedno miłe słowo, raz jeszcze spotkała się z milczeniem. Zaakceptowała już rację siostry bliźniaczki: śmierć nie sprawi, że między nimi wszystko się ułoży; nie zmieni ani jednej rzeczy.

Teraz pochylała się pod figowcem, wyrównując ziemię na grobie żółwicy. Rzeźnik podbiegł i chwycił ją w ramiona. Trzymał ją w nich przez wieczność, a w każdym razie długo, bardzo długo, dopóki nieznaczny opór jej ciała nie kazał mu postawić jej na ziemi.

Spojrzenie Fernandy nic mu nie mówiło. Ale rozsądek podpowiadał powód jej wyjazdu. Dawno temu powiedziała, że zostanie do powrotu Fidelia. Fidelio powrócił. To wszystko. Poklepała go w policzek koniuszkami palców, po czym odeszła do furgonetki, która załadowana po brzegi, czekała tylko na nią. Wiedział, że nie uda mu się jej zatrzymać. Że nic nie może zrobić. Ale to nie wystarczało.

- Dokąd jedziesz? - zaskoczył go własny głos. Brzmiał tak jak zawsze. Prawie.

Kierowca włączył silnik.

- Za dużo pytań - odparła, nieznacznie się uśmiechając.

I pozostało mu tylko patrzeć, jak furgonetka przejeżdża przez podwórko, skręca na drogę i odjeżdża.

- Tylko jedno - zaprotestował.

Ale jej już nie było.

=====